

B. DYAKOWSKI

Z PUSZCZY BIAŁOWIESKIEJ

Z 8 ILUSTRACJAMI



NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
PARYŻ — POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

PRZEDMOWA

Opowiadanie to było napisane i wydrukowane po raz pierwszy w roku 1908, kiedy Polska była jeszcze podzielona między 3 państwa zaboreze. Dlatego przedstawia ono stosunki odmienne od dzisiejszych. Na tę różnicę, gdzie ona zachodzi, zwróciłem uwagę w odsyłaczach obecnego wydania. Na końcu zaś książki dodałem 3 rozdziały (VIII—X) o dalszych dziejach puszczy Białowieskiej, opisujące historję puszczy w czasie wielkiej wojny, oraz jej stan obecny (na początku roku 1926).

B. D.

SKŁADY GŁÓWNE:

•THE POLISH BOOK IMPORTING CO. INC.• NEW YORK
•KSIĘGARNIA POLSKA NA ŚLĄSKU, SP. AKC.• KATOWICE

KRAKÓW—DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI
1926

ZACHWIANE PROJEKTY WAKACYJNE
DO BIAŁOWIEŻY!

Julek błąkał się po parku Ujazdowskim w dość kwaśnym humorze: wczoraj wprawdzie skończyły się już lekcje i zaczęły wakacje, jest wolny jak ptak, ale cóż z tego? Za parę dni pojedzie do Ciechocinka, który zna już od tylu lat i który przecież jest ostatecznie miastem, kiedy jemu, Julkowi, chce się na lato wsi prawdziwej, powietrza, łąk i lasów.

Był nawet projekt wyjazdu do Zakopanego, nadzieja wycieczek w góry, robienia nowych ziół przyrodniczych. Ale ten niegodziwy doktor uparł się, że dla Andzi są konieczne potrzebne solanki, i przez to on, Julek, uczeń obecnie już piątej klasy, będzie musiał znów spędzić lato w Ciechocinku i bawić się jak mały beben w piasku! brr! brr!

— Czemuż to tłuczesz się po parku z taką miną, jakgdybyś miał jutro zdawać poprawkę u «szewca»? — zapytał go nagle wesoły głos, i przed Julkiem stanął średniego wzrostu, szczupły i bladawy chłopak, kolega z tej samej ławy.

— Ach, Kazik, wolałbym dzisiaj poprawek

u «szewca», z jego wiecznem nudzeniem, że kreska w ulamku za ukośna, że czwórka podobna jest do jedynki, że on nie jest Duch Święty i nie może odgadnąć, co ja myślę; wszystkoby to wolał, byłoby tylko mógł nie jechać do Ciechocinka.

— Wybieraliście się przecież do Zakopanego?

— Tak, tak, wybieraliśmy się i byłibyśmy pojechali, żeby nie ten mądry doktor. Andzia zdrowa jak ryba, tylko trochę mizerna i nie ma apetytu, a on znalazł w niej jakieś skrofule, jakieś gruczoly i chce koniecznie, żebyśmy jechali do Ciechocinka, bo Andzia musi się moczyć w soli. Sam wymoknięty jak śledź i chciałby cały świat moczyć w soli i marynować. I zato ja muszę tam również jechać. Co ja tam będę robił? — pytał Julek żałośnie.

— To jedź z nami do Białowieży!

— Alboż to tam ludzie jeżdżą na lato?

— Wszędzie można pojechać. Ale my nie jedziemy na całe lato, tylko robimy kilkodniową wycieczkę z Jankiem, wiesz, moim bratem.

— Z Jankiem, taki znakomity przyrodnik! Tożbyśmy różne ziola mogli zbierać!

— Jedzie jeszcze Józik.

— E!.. taki fanfaron.

— Fanfaron, nie fanfaron, a ma aparat fotograficzny, będzie więc można zdejmować ładniejsze widoki. Jedź z nami na czwartego; przydasz się Jankowi na pomocnika w robieniu zbiorów przyrodniczych, bo ja, jak wiesz, nie bardzo lubię zbierać te motyle, chrząszcze i inne gady lub badyle. Janek nawet wspominał o tobie, aleśmy myśleli, że jedziesz do Zakopanego.

— Wiem, wiem, żeś ty mól książkowy; w sam raz do namoczenia z naszym kochanym doktorem w soli! Ale kiedy już nie mogę jechać do Zakopanego, wybrałbym się z wami do tej Białowieży, zwłaszcza, że Janek będzie. Tylko czy rodzice się zgodzą?..

— Kupić nie kupić — potargować można. Chodźmy najpierw do Janka i przez niego poprosimy rodziców.

— A co? — uczony historyk — zaraz się wziął do dyplomacji. My, przyrodnicy, nie umiemy tak kołować, ale to może racja: chodźmy do Janka!

Pomysł «uczonego historyka» okazał się jednakże bardzo dobrym.

Janek, dwudziestoletni słuchacz wydziału przyrodniczego, cieszył się wielkiem uznaniem rodziców Julka, którzy tem chętniej zgodzili się na tę wycieczkę, że pewni byli dobrej opieki, skoro Janek nią kierował.

Przygotowania do drogi nie zajęły zbyt dużo czasu.

— Nie jedziemy na bał, lecz na wycieczkę, nie potrzebujemy więc stroić się, weźmiemy tylko to, co jest koniecznie potrzebne, — mówił Janek.

Chłopcy zastosowali się do tego. Każdy przygotował sobie na drogę pelerynę oraz nieduży tłumoczek z bielizną na zmianę, rzeczami podręcznymi i zapasami jedzenia.

Najwięcej kłopotu było z rynsztunkiem przyrodniczym, bo Julek nie mógł się zdecydować na to, czy miał być na wycieczce botanikiem, czy też zoologiem, obciążać się zaś i teczką zielnikową.

i puszką na owady wraz z siatką było za dużo na jednego.

Kazio jednak usunął tę trudność, zgadzając się być na ten raz przyrodnikiem. — A czy zoologiem czy botanikiem, to mi już wszystko jedno — daj — bylebyś mi nie kazał dźwigać żubra, nakładaj na szpilkę, albo zasuszonego okazu Baublisa, to na resztę się zgadzam.

— Więc bądź tymczasem botanikiem; zobaczysz, że jeszcze rzucisz historję i literaturę, a zostaniesz przyrodnikiem.

Na drugi dzień wieczorem cała gromadka wycieczkowiczów zebrała się już na dworcu petersburskim¹⁾, na Białystok bowiem prowadziła najkrótsza droga do Białowieży, tędy więc miano jechać.

Dziarskie miny, tłumoczki na plecach, teeczki z bibulą lub puszką u boku, peleryny, zarzucone z fantazją, nogi młode i zdrowe — czegoś więcej potrzeba do wycieczki? Bo i aparat fotograficzny kotłował się wdzięcznie na taśmie, przerzuconej przez ramię Józia, który zato nie miał już żadnych puszek, ani zielników.

— Trzy tuziny klisz kupilem! — mówił z dumą.

— Za mało, stanowczo za mało na takiego fotografa, co tuzin klisz zepsuje, zanim mu się jedna uda! — wtrącił złośliwie Julek.

— Jeszczem ani jednej nie zepsuł.

¹⁾ Dziś dworzec wileński; ale najkrótsza droga do Białowieży prowadzi dziś nie na Białystok, lecz z dworca wschodniego na Siedlec, Czeremchę do Hajnówki.

— Bo masz od wczoraj aparat.

— No, no, będziesz mię jeszcze prosił, żebym ci odfotografował jakie piękne drzewo, albo jakiego żubra lub tura.

— Obejdzie się cygańskie wesele bez marcepana.

— A tura, to już na pewno nie będziesz fotografował, bo ich niema nietylko w Białowieży, ale i nigdzie na świecie.

— Ho! ho! ho! a ten, co to z nim walczył Ursus w «Quo vadis» Sienkiewicza, to nie był tur?

— Najpierw, że był żubr, a nie tur, a następnie wtedy były jeszcze i prawdziwe tury, ale przecie my nie żyjemy w tych czasach.

Józio jednak nie chciał dać za wygraną i szukał dalej dowodów w literaturze:

— A przecie i Mickiewicz pisał, że są tury, pamiętacie, tam, gdzie to mówi w «Panu Tadeuszu» o cesarzach puszczy...

— Może o imperatorach?...

— Przecie to wszystko jedno.

— Nawet cesarz bardziej po polsku, prawda?

— Et, nie nudź! A lepiej przypomnij, bo mi się po głowie niewyraźnie kręci, jak to wylicza te różne zwierzęta: tur, żubr...

— Bóbr... — dodał Julek.

Spór ciągnąłby się dalej, ale wtem dał się słyszeć dzwonek, i wszyscy pośpieszyli zająć miejsca w wagonach. Ciasno było porządnie, ale podróżni nasi nie posiadali zbyt dużo pakunków i sami też nie odznaczali się tuszą, ulokowano się więc jako tako i ruszono w drogę.

Systematyczny Kazio wywlókl sprawę turów i żubrów przed sąd Janka, który przyznał mu słuszność i potwierdził, że turów istotnie niema już w puszczy Białowieskiej, wyginęły bowiem od dawna; ostatniem zaś miejscem, gdzie się znajdowały, była nie Białowieża, lecz puszcza Jaktorowska na Mazowszu. Tam dochowały się tury najdłużej, bo ostatni zginął w r. 1627.

— I postacią różniły się wybitnie te zwierzęta między sobą: tury były zupełnie podobne do naszych dzisiejszych wołów, tylko większe i okazalsze, z olbrzymimi rogami. Żubry zaś mają nadzwyczaj charakterystyczną, silnie rozwiniętą przednią część ciała, kark jakby garbaty, kudłatą grzywę i brodę. Zobaczymy je zresztą wkrótce — dodał Janek.

Na tem rozmowa się urwała. Pomimo twardej ławki i siedzącej pozycji, chłopcy zasnęli wkrótce, kiwając się i kołysząc na wszystkie strony.

II

Z WARSZAWY DO BIALEGOSTOKU

Podróż koleją. — Dawne puszcze. — Historia puszczy Białowieskiej.

Zbyt mocno i wygodnie podróżni nasi nie spali, bo tłok w wagonach był wciąż jednakowy, i nie sposób nawet było marzyć o wyciągnięciu się na ławce. Gdy się ma jednak lat piętnaście, to nawet i stojący człowiek spać potrafi. Spano więc w najlepszym razie do godziny trzeciej, gdy pociąg stanął w Białymstoku i trzeba było przesiąść się do in-

nego, podążającego na południe, w stronę Bielska i Białowieży.

Po godzinnem czekaniu ruszono w dalszą drogę. Słońce już wstało, przez okna otwarte załatywał świeży, ranny powiew, na zbożach i trawach perwronka, a pociąg, miarowo stukając po szynach, pędził przed siebie.

Chłopców sen zupełnie odleciał: chłonęli w siebie orzeźwiający powiew i rozglądali się po okolicy, Julek zaproponował nawet Józiovi, aby wziął się do fotografowania, ale ten odrzekł z powagą, że słońce jest jeszcze za nisko, aby można było robić momentalne zdjęcia, a z wagonu nie da się przecie zrobić innych.

Janek zabrał głos:

— Za parę godzin ujrzymy już puszcę Białowieską. Skorzystam z czasu i opowiem wam nieco o tym zabytku dawnych czasów, o tej największej dziś w Europie puszczy, najokazalszej pozostałości odwiecznych lasów, o których powiada poeta:

Puszcza szumiała od ptactwa i zwierza,
I z Bogiem jeszcze nie było przymierza,
Nie było także puszczą żadnej drogi.

W owych to czasach nietylko kraj nasz, ale i cała Europa środkowa przedstawiała jedną olbrzymią puszcę, dziewiczą i bezludną, zamieszkaną jedynie przez dzikie zwierzęta. Był to jakby jeden wielki zwierzyniec, jedno królestwo zwierząt, w którym panowały, siejąc grozę i trwogę, najpotężniejsze ssaki ówczesne: drapieżny niedźwiedź, okazały

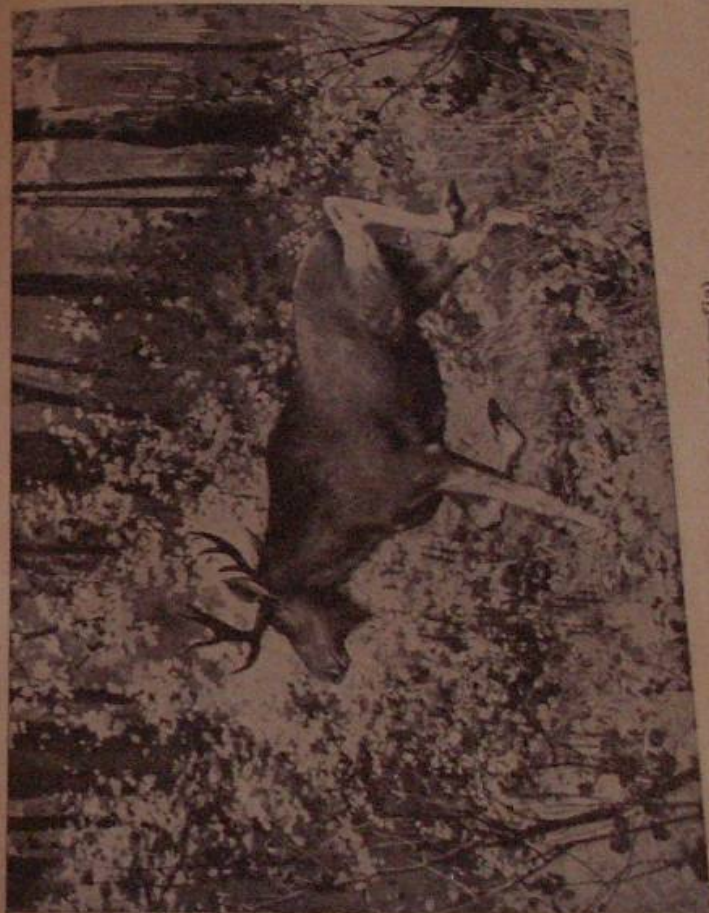
tur, potężny żubr — te Mickiewicza »puszcz imperatory«, które jakoś wczoraj tak niefortunnie poplątały się w głowie Józiovi.

— Ja pamiętam to dobrze — wyrwał się Kazio i zaczął deklamować:

W samym środku (jak słyhać) mają swoje dwory;
Dawny tur, żubr i niedźwiedz, puszcz imperatory;
Okolo nich, na drzewach, gnieździ się ryś bystry
I żarłoczny rosomak, jak czujne ministry;
Dalej zaś, jak podwładni, szlachetni wasale,
Mieszkają dziki, wilki i łosie — rogale;
Nad głowami sokoły i orłowie dzicy,
Żyjący z pańskich stołów, dworscy zauszniczy.

— Tylko, że wtedy — dodał Janek — nie potrzebowały one kryć się w samym środku puszczy, w niedostępnych matecznikach i ostępach, ale mogły w każdym jej miejscu ściągać bezkarnie krwawą daninę ze swych »szlachetnych« i »nieszlachetnych« wasali. I stosunki między zwierzętami nie były tak pokojowe i patryarchalne, jak to przedstawił Mickiewicz, powtarzając podanie ludowe:

Słyhać, że tam w stolicy między zwierzętami
Dobre są obyczaje, bo rządzą się sami;
Jeszcze cywilizacją ludzką nie popsuci,
Nie znają praw własności, która świat nasz kłóci,
Nie znają pojedynków, ni wojennej sztuki.
Jak ojce żyły w raju, tak dziś żyją wnuki,
Dziki i swojskie razem, w miłości i zgodzie,
Nigdy jeden drugiego nie kąsa, nie bodzie.
Nie giną nigdy bronią sieczną, ani palną,
Lecz, starzy, umierają śmiercią naturalną.
Nawet, gdyby tam człowiek wpadł, chociaż niebrojny,
Toby środkiem bestyi przechodził spokojny.



ŁOŚ W PUSZCZY (Fotografia)

Przeciwnie, gdzie było tylu drapieżców, tam ciągle wrzała zażarta walka, chociaż z trzech »puszcz imperatorów« jeden tylko niedźwiedź należał do mięsożerców. Dość ich jednak było wśród »ministrów« i »szlachetnych wasali«. Trawożerne więc zwierzęta, nietylko mniejsze, ale nawet i większe, jak losie, jelenie, tury i żubry, musiały nieraz staczać krwawe walki w obronie własnego życia i nieraz stawały się pastwą silnych i obrotnych drapieżców.

Ma słusność Mickiewicz, że w tych puszczańskich stosunkach »nie ginęły one nigdy bronią sieczną, ani palną«, tem bardziej, że broni palnej nie znano jeszcze wtedy wcale; ale też rzadko umierały ze starości »śmiercią naturalną«.

Zresztą wkrótce zjawił się i człowiek w puszczy. Najpierw, jako myśliwy, wystąpił do walki z jej dawnymi mieszkańcami; następnie, jako rolnik, wypowiedział wojnę samej puszczy, trzebiąc okazałą jej działwę leśną w sposób bardzo pierwotny — wypalaniem. Taki dawny rolnik nie silił się na wyrąbanie i wykarczowanie kawałka lasu, bo na to nie miał ani potrzebnej ilości rąk, ani czasu, podpałał go więc, a gdy ogień strawił pewien jego obszar, zasiewał byle jak żyzną nowinę i bez wielkiej pracy i wielkich zachodów zbierał z niej plony przez lat kilka a nawet kilkanaście i dłużej, dopóki ziemia się nie wysiliła i nie przestała rodzić.

Gdy to nastąpiło, wypalał nowy kawał lasu i obsiewał go na nowo.

Rabunkowa to była gospodarka. Ale że wówczas

czas ludzi było jeszcze mało, a lasów dużo, nie była więc ona bezwzględnie szkodliwa, tem bardziej, że opuszczone przez ludzi pola zarastały zwykle napowrót lasem, nasiona bowiem drzew przechowywały się w ziemi bardzo długo i pukszczały kielki, skoro tylko człowiek przestawał im przeszkadzać. W każdym jednak razie puszcza powoli się zmniejszała, gdyż ludzie nie zawsze dawali zarosnąć takim zgliszczom leśnym, i niejedni osadnik starał się utrzymać na stałe swój kawałek jako pole uprawne.

Taka gospodarka z wypalaniem puszczy pod glebę rolną przetrwała długie czasy, póki tylko było jeszcze więcej lasów; wspomina o niej Pol w opisie Litwy w »Pieśni o ziemi naszej«.

Ćmią się puszcze, mgła się zbiera,
Po pasiekach kraj przeziera.
Wól za rogi orze zgliszczę,
W ostrym żwirze socha świszczę.

W każdym razie puszczy ubywało powoli, i już w pierwszych wiekach dziejów naszych Polska przedstawiała mieszaninę lasów z polami, a jednolite pierwotne puszcze znajdowały się głównie w stronie północno-wschodniej, w sąsiedztwie z Litwą i Rusią. Stamtąd wypadały na rolniczą Polskę hordy Litwinów i Jadzwingów, pustosząc kraj i wprowadzając jeńców, którzy do ich ojczyzny wnosili pierwsze pojęcia o uprawie roli i kraj ich przeistaczali powoli również w rolniczy.

Z rozrastaniem się ludności, z powiększaniem się ilości ziemi uprawnej ubywało wciąż lasów,

a kraj stawał się coraz bardziej polny. I oto dziś z tych okazałych dawnych lasów i borów zostały zaledwie małe szczątki, które nazywamy wprawdzie jeszcze puszciami, ale w których niema już prawie wcale cech prawdziwie puszczańskich.

Takie mizerne szczątki puszczy znajdują się gdzie niegdzie w różnych miejscowościach Polski. Jest pod Krakowem słynna puszcza Niepołomska, ulubione miejsce łowów Kazimierza Wielkiego i innych naszych królów, którzy dziś zresztą nie mieiliby już tam ani gdzie, ani na co polować. W okolicach Warszawy znajduje się puszcza Kampinoska, jedna z największych w Królestwie. Dalej na północ wdół Wisły, już w zaborze pruskim, na wschód jąca 35 mil kwadratowych przeważnie lasu sosnowego. W obrębie Królestwa są jeszcze puszcze Kurpiowskie (Zielona i Myszyniecka) w Ostrołęckiem; są większe lasy w Augustowskiem — resztki tego pasa puszczy leśnych, z których ongi urządzali nas najscia Jadzwingowie i Litwini. Wszystko to jednak są już tylko duże lasy, a nie puszcze, jedynie dawna nazwa trzyma się ich jeszcze, jako wspomnienie po tem, co było niegdyś.

Najokazalszym szczątkiem tych dawnych dziewiczych lasów jest puszcza Białowieska: ona jedna może nam dać jeszcze jakie takie pojęcie o tych naszych pierwotnych puszczech.

Ale i ona oddawna nie jest już prawdziwie dziewiczym lasem, zamieszkanym przez dzikie zwie-

¹⁾ Dziś należy już do Polski.

rzęta i nietkniętym jeszcze siekierą. Początkowo wypalana i przetrzebiana tylko od brzegów, dostała się ona następnie w całości pod władzę człowieka i co najmniej od 250 lat podlega bardzo ścisłej jego opiece albo raczej zniszczeniu, jak wyraził się dowcipnie dr. Eugenjusz Romer, profesor geografji w uniwersytecie lwowskim.

— Jakto, zniszczeniu? — przerwał Julek — sam przecież mówiłeś, że gdyby nie opieka ludzka, to i ta puszcza znikłaby wkrótce.

— Naturalnie, że bez opieki ludzkiej i bez prawnych zastrzeżeń znikłaby jeszcze prędzej, ale i pod tą opieką straciła ona z konieczności pierwotny, dziki charakter i stała się raczej jakimś olbrzymim parkiem. Gdyby nie to jednak, gdyby pozwolono worywać się w nią i wyrąbywać ją bez przeszkód, przeistoczyłaby się ona bardzo prędko w piaszczystą, nieurodzajną krainę, z rzadkimi i nędznymi laskami, jaka otacza dzisiejszą puszcze z zachodu.

Sama puszcza w tej postaci, jaką ma obecnie, ocalała jedynie dzięki temu, iż królowie polscy, zachowując lasy, odpowiednio dla grubego zwierza, na którego mogliby urządzać łowy. Wzięli więc pod specjalną opiekę tę puszcze, która zresztą oddawna była własnością panujących i należała do tak zwanych »królewszczyzn«.

Już w wieku XVI została ona zmierzona przez geometrów i otrzymała straż leśną, dla opieki nad grubą zwierzyną. Strażnicy obowiązani byli pilnować, aby kłusownicy nie tępili jej. Gdy zaś przy-

jechał panujący z dworem, musieli udzielać wszelkich potrzebnych wskazówek do łowów, a także brać czynny udział w ich urządzaniu. Zato na mniejszą zwierzynę mogli polować nieograniczenie, płacąc wzamian osobny »podatek futrzany« ze skór.

Dla lepszego upilnowania tak znacznego obszaru, jak puszcza Białowieska, podzielono ją na 12 straży, odgraniczonych od siebie linjami, przeciętymi wśród drzew na 12 łokci szerokości. Linje te rozchodziły się ze środka puszczy, gdzie dziś znajduje się wieś Nowa Białowieża, i biegły w kierunku promieni ku jej obwodowi. W ten sposób każda straż miała kształt ogromnego trójkąta, z wierzchołkiem we wsi Białowieży.

Najwięcej zasług w porządnem urządzeniu opieki nad puszcza położyl Antoni Tyzenhauz, głośny podskarbi Stanisława Augusta, niezmiernie dbały wogóle o podniesienie Litwy. Zwierzyna puszczańska, a zwłaszcza żubry uzyskały wtedy szczególnie dobrą opiekę. Strzegli ich umyślni strzelcy, tępiąc zarazem wilki oraz inne drapieżne zwierzęta, niebezpieczne zwłaszcza dla młodych żubrów. Inni mieszkańcy puszczy, zwani osacznikami, przygotowali stogi siana na zimę dla żubrów. Słowem, dobre to były czasy dla zwierząt.

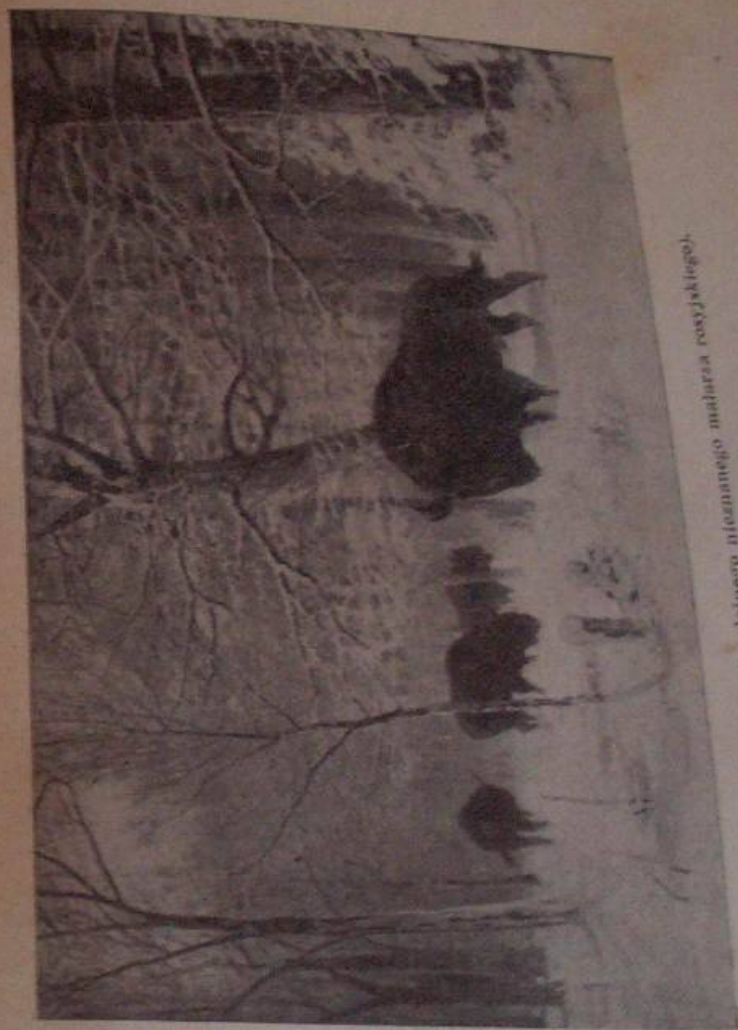
Ale nie trwały one długo. Rozbiory Polski odbiły się i na nich, chociaż pozornie nie dotyczyły ich wcale. Po trzecim rozbiorze, jak wiecie, Prusacy zagarnęli północną część dzisiejszego Królestwa. Granica tej ich nowej prowincji, ochrzczonej szumnie »Prusami Nowo-Wschodniemi«, stykała się właśnie z puszcza i biegła zachodnim jej brzegiem.

Prusacy o puszcę Białowieską nie troszczyli się wcale, i wtedy to w wioskach, sąsiadujących z puszcą, a należących do Prus, potworzyły się bandy zbrojnych kłusowników, które wpadały do puszczy, oblitującej wówczas w zwierzynę, a następnie umykały zpowrotem zagranicę.

Stau taki trwał aż do czasu pobicia Prusaków przez Napoleona, utworzenia Księstwa Warszawskiego (w r. 1807) i zniesienia Prus Nowo-Wschodnich. Jednakże przez 12 lat istnienia tej granicy liczba żubrów z 700 spadła na 300.

— A skąd wiadomo, ile jest żubrów w każdym roku? — spytał Julek. — Przecie chodzą one swobodnie po puszczy i przenoszą się bez przeszkody z jednego miejsca na drugie. W jaki sposób więc można policzyć, ile ich jest?

— Nie jest to tak trudno, jak się wydaje w pierwszej chwili — odparł Janek. — Żubry, zwłaszcza w zimie, trzymają się małemi stadkami, pewnych części puszczy, w bliskości rzeczek, źródeł i stogów siana. Strażnicy znają dobrze te miejsca, odwiedzają je co pewien czas po świeżo spadłym śniegu i liczą tropy na nim. Niekiedy udaje im się podejść nawet tak blisko, że mogą obejrzeć i porębować same zwierzęta. Taki sposób nie pozwala naturalnie obliczyć z zupełną dokładnością wszystkich żubrów, omyłki bowiem zdarzają się przy tem nieraz, bądź co bądź jednak daje on wcale niezłe, przybliżone pojęcie o ich liczbie, a zwłaszcza o jej zmniejszaniu się lub powiększaniu się z roku na rok. Zresztą każdy strażnik, mając pod swą opieką niezbyt duży rewir, a zwiedzając



ŻUBRY (Z obrazu niemieckiego malara rosyjskiego).

go często, nabiera w tem ogromnej wprawy i wie zwykle bardzo dobrze, ile jest w nim zwierząt.

Wracajmy jednak do historii żubrów w początku zeszłego wieku, którą zacząłem wam opowiadać.

Wojny napoleońskie uratowały je wprawdzie od grabieży pruskiej i kłusowników, ale spokoju nie dały im wcale. Wojna przeniosła się na wschód, budząc mnóstwo nadziei i porywając z sobą wszystkich i wszystko.

— Który z was pamięta opis tej wiosny w »Panu Tadeuszu«? Mickiewicz o tej wojnie powiedział:

Urodzony w niewoli, okuty w powiciu,
Ja tylko jedną taką wiosnę miałem w życiu.

Ale nawet i Kazio nie umiał napamięć tego opisu; wydobyl jednak z kieszeni tanie wydanie »Pana Tadeusza«, które wziął z sobą na wszelki wypadek, i odczytał z niego ustęp, dotyczący puszczy i żubrów:

W puszczy łoskot: to kula od jakiegoś działa,
Zbłądziwszy w polu bitwy, dróg w lesie szukała,
Rwąc pnie, siekąc gałęzie. Żubr, brodacz sędziwy,
Zadrzał we mchu, najeżył długie włosy grzywy,
Wstaje nawpół, na przednich nogach się opiera
I, potrząsając brodą, zdziwiony spojiera
Na błyskające nagle między łomem zgliszcze.
Był to zbłąkany granat; kręci się, wre, świszczce,
Pękl z hukiem, jakby piorun; żubr pierwszy raz w życiu
Zląkł się i uciekł, w głębszem schować się ukryciu.

Żubry, istotnie, mogły wówczas niejednokrotnie zetknąć się z wojną, część bowiem armji na-

połcońskiej przeciągała przez puszcę Białowieską. A kłusownicy tem bezkarniej uwijali się po niej.

Koniec wojen napoleońskich przyniósł nam zawód i rozczarowanie, żubrom zaś spokój i większą opiekę. Rząd rosyjski, widząc rozpanoszenie się kłusownictwa, wydał bardzo surowe zakazy, zabronił wogóle nie tylko polować, ale nawet wchodzić lub wjeżdżać do puszczy z bronią. Odjęto ją nawet osacznikom.

Te zakazy miały jednak i złą stronę, przyczyniły się mianowicie do rozmnożenia się wilków, na które już nikt nie polował. Nagromadziło się ich tyle, że zimą oblegały one leśników w chatkach, i w ciągu kilku lat pożarły kilkadziesiąt żubrów. Tak, że trzeba było znów wydać umyślny rozkaz leśnikom, aby wytępiili zupełnie te zwierzęta. Obecnie wilki należą do nadzwyczaj rzadkich stworzeń w puszczy. Wogóle zwierzęta drapieżne zostały w niej wytępione prawie zupełnie: niedźwiedzi niema w niej wcale, ostatni został zabity przed przeszło 40 laty; jest jeszcze trochę rysiów, ale w każdym razie niewiele.

Zato ilość żubrów powiększyła się znacznie i w ostatnich latach dosięgła, podobno, nawet tyśiąca.

— Ale tak naprawdę — wtrącił Józio — co by w tem było złego, gdyby żubry wyginęły, a nawet i cała puszcza Białowieska wraz z niemi?

— Niestety, naturalnie, nie byłoby żadnego, niemniej jednak byłaby to wielka szkoda. Żubry stanowią bardzo ciekawy okaz fauny dawnych lasów europejskich i zasługują na ochronę

nie dlatego, aby móc od czasu do czasu urządzać ciekawemu zabytkowi natury. Urządzamy po miastach różne muzea, gabinety zoologiczne i inne; żadne jednak muzeum, żaden najpiękniejszy gabinet nie zastąpi takiego naturalnego zwierzyńca, takiej puszczy z zamieszkującymi w niej prawie na swoich zwierzętami. Poznawszy się na wartości takich naturalnych muzeów, ludzie starają się ochronić i ustrzec od zagłady różne zakątki, będące pozostałością dawnej przyrody.

Taką ochronę zabytków przyrody, a zwłaszcza tych naturalnych muzeów, zaczęto wprowadzać najpierw w Ameryce, a mianowicie w Stanach Zjednoczonych, w połowie zeszłego wieku: w roku 1864 założono w Kalifornji pierwszy tak zwany Park Natury, biorąc pod ochronę obszar nad rzeką Yosemite, mający 70 kilometrów średnicy, a zawierający dziewicze lasy i góry do 4.000 metrów wysokości. Surowe przepisy zabroniły tam osiedlać się ludziom, a nawet paść bydło, żeby można było zachować go w stanie możliwie czystej natury.

W kilka lat później, w roku 1872, wzięto pod ochronę inny, znacznie większy, a słynny dziś w całym świecie olbrzymi «Park Narodowy» w Yellowstone w górach Skalistych, w dolinie rzeki tegoż nazwiska. Park ten zajmuje obszerną wyżynę, mającą 160 kilometrów wszerz i wzdłuż, z gorącymi źródłami, gejzerami, pięknymi skałami i lasami oraz mnóstwem różnych zwierząt; żyje tu między innymi kilkaset bizonów, krewniaków naszego żubra, wszędzie indziej już wytępionych.

— To zupełnie jak u nas żubry w Białowieży — wtrącił Kazio.

— Zupełnie tak samo. Może tylko warunki są tam lepsze, bo ochroniony obszar jest tam znacznie większy od puszczy Białowieskiej, a przytem nikomu tam nie wolno polować, ani prowadzić jakiegokolwiek gospodarki. Warunki więc życia zwierząt są bardziej zbliżone do naturalnych.

Ciekawa rzecz, że gdy ogłoszono ten park za własność narodową i wzięto go pod ochronę, niektórzy nie wróżyli mu długiego istnienia, nie chcieli bowiem uwierzyć, aby Amerykanie, tak czynni na polu wszelkiego przemysłu i tak chciwi wzbogacenia się, mogli pozostawić bez użytku takie wspaniałe lasy z olbrzymimi drzewami, kopalnie, rzeki, nadające się do użytkowania siły wodnej, i inne bogactwa, w które obfituje «Park Narodowy» w Yellowstone. Pokazało się jednak, że umieją oni ocenić znaczenie takich zabytków przyrody, bo przechodzili w należytem poszanowaniu cały ten obszar, który dziś stał się przedmiotem ich chluby i sławy na cały świat¹⁾.

— A w Europie czy istnieją, oprócz Białowieży, inne parki natury? — spytał Julek.

— W Europie ruch, mający na celu ochronę zabytków przyrody, rozpoczął się nieco później, ale jednakże i w naszej części świata wzięto już pod ochronę w różnych państwach rozmaite mniej-

¹⁾ Obecnie w Ameryce istnieje przeszło 20 takich parków narodowych, zajmujących razem obszar przeszło 34.000 kilometrów kwadratowych.

sze lub większe obszary leśne, wrzosowiska, a nawet bagna i torfowiska. Największe zasługi w rozszerzaniu się tego ruchu położył Conventz, kustosz Muzeum Przyrodniczego w Gdańsku, który usilnemi staraniami doprowadził do tego, że parę lat temu (w r. 1906) utworzono w Prusach specjalny «Urząd Państwowy ochrony osobliwości przyrody».

— A jak stoi ta sprawa u nas? — dopytywał się dalej Julek — bo jakoś nic nigdy nie słyszałem o tem.

— Nie stoi najświetniej, ale ostatecznie i nie najgorzej — tłumaczył Janek. — Sprawą tą zaczęto się interesować dość dawno. Pierwszy podjął ten ruch na szerszą skalę Maksymilian Nowicki, profesor zoologii w Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Za jego staraniem w r. 1869 sejm galicyjski uchwalił ustawę o ochronie świstaków i kozic w Tatrach. Była to pierwsza tego rodzaju ustawa rządowa w Europie. Pod wpływem ruchu, wzbudzonego przez profesora Nowickiego, powstały prywatnemi środkami 2 mniejsze rezerwy¹⁾ leśne w Galicji, a mianowicie hr. Dzieduszycki utworzył jeden taki rezerwat w majątku swoim Pieniaki w Galicji Wschodniej, a hr. Stadnicki drugi w Nawojowej w Karpatach.

Jeszcze silniej zaczął się rozwijać ruch ten w Galicji w ostatnich latach, gdy na jego czele stanął Marjan Raciborski, profesor botaniki w Uni-

¹⁾ Rezerwy leśne — obszary leśne, wzięte pod ochronę.

wersytecie Jagiellońskim, gorący propagator idei ochrony zabytków przyrody¹⁾.

Bównie pomysłnie rozwija się ruch ten w zaborze pruskim, głównie dzięki usiłowaniom Conventza, o którym już wam wspominałem, i Phula, profesora gimnazjalnego w Poznaniu, który bardzo starannie spisuje osobliwe zabytki przyrodnicze w Poznańskim. Dzięki ich usiłowaniom, a także dzięki zrozumieniu znaczenia takiej ochrony przez miejscowe społeczeństwo polskie, powstały mniejsze lub większe rezerwaty w okolicach Gdańska, Torunia i w borach Tucholskich.

Najslabiej stoi sprawa ochrony zabytków przyrody u nas, w Królestwie, niepopierana zupełnie przez rząd, jak w tamtych dwóch zaborach, ani nieoceniana należycie przez społeczeństwo, które jest dla niej zupełnie obojętne i nie rozumie wcale jej znaczenia. Bo to, że puszcza Białowieska, ta piękna pamiątka pierwotnych lasów, ocalała, to jest czysty przypadek, to jedynie skutek chęci używania w niej rozrywek łowieckich²⁾.

Zresztą, dzięki inicjatywie prywatnej także i u nas powstało parę rezerwatów leśnych. Z nich zwłaszcza zasługuje na uwagę park w Pilawinie na Wołyniu, założony w r. 1900 przez Józefa hr. Potockiego. Hr. Potocki kazał oddzielić z lasów Piszczowskich w okolicach Sławuty obszar 5.000 hektarów, otoczyć go wysokim ogrodzeniem i tam

¹⁾ Zmarł w roku 1917.

²⁾ Po odzyskaniu niepodległości Rząd Polski wydał w r. 1919 ustawę o ochronie zabytków przyrody i utworzył Państwową Komisję Ochrony Przyrody.

urządził zwierzyniec. Jest on zawołanym myśliwym, jednakże założył ten park nie dla polowań, ale jako miejsce pobytu i rozmnażania się różnych zanikających zwierząt, a więc wyraźnie w celach ich ochrony. W parku tym znajdują się różne gatunki jeleni, kilkadziesiąt sztuk losiów, a nawet kilka żubrów, otrzymanych w darze z puszczy Białowieskiej, oraz parę bizonów amerykańskich¹⁾.

Nie wszyscy jednak oceniają należycie znaczenie ochrony zabytków przyrody, choć rzecz to wcale nietrudna do zrozumienia: ileż to bowiem podniosłych i pięknych wrażeń dostarcza nam samo zwiedzanie takich dochowanych szczątków dawnej przyrody, niemych, a przecież wymownych świadków bezpowrotnie minionej, dalekiej przeszłości! A jednocześnie, jakże ułatwia nam zapoznanie się z przyrodą i prowadzenie badań nad nią.

Zresztą o tem wszystkim najlepiej przekonacie się sami, gdy staniecie oko w oko z puszczą Białowieską, zetkniecie się osobiście z jej pięknem i poznacie jej pierwotny charakter.

Trzeba jednak dodać, że takie ochranianie zabytków przyrody nie jest rzeczą zbyt łatwą; postępy cywilizacji i różne ulepszenia techniczne wnoszą częstokroć tyle zmian w przyrodę danego kraju, tak dalece zmieniają warunki życia jego fauny i flory, że różne gatunki roślin i zwierząt nie mogą się za nic utrzymać i muszą wyginąć.

Naprzykład żubry: mają w puszczy Białowie-

¹⁾ Zwierzyniec w Pilawinie uległ w czasie ostatniej wojny bardzo silnemu zniszczeniu.

skiej dość znaczny obszar na mieszkanie, polować na nie nie wolno, strażnicy opiekują się nimi, tępiąc ich nieprzyjaciół i dbając o pokarm dla nich w zimie; a jednak mimo to gorzej im tu jest, niż było w prawdziwie dziewiczej puszczy, chociaż tam nikt nie troszczył się o nie.

Już sama obecność człowieka utrudnia im życie. Ci wszyscy strażnicy i dozorczy potrzebują domów na mieszkanie, pól, łąk, bydła domowego, dróg porządnych, drzewa na opał. Powstały więc w puszczy nietylko wsie, ale i miasteczka całe, bite gościńce, słupy telegraficzne i telefoniczne, a w końcu zeszłego wieku (w r. 1895) przeprowadzono nawet kolej; wszystko to zmieniło zupełnie warunki życia i pozbawiło żubry tego spokoju, jakie mają zwierzęta na zupełnej swobodzie.

I nietylko pod tym względem zmieniła się puszcza. Lasów jest coraz mniej, a zapotrzebowanie drzewa jest zawsze znaczne, zwłaszcza poszukiwane są duże i ładne drzewa. Więc i Białowieża nie od dzisiaj zapoznała się z siekierą drwala, a śliczne, wysmukłe jej sosny od wieków już wędrowały w świat szeroki.

Gdy Janek domawiał tych słów, koła wagonów zaczęły dudnić po moście, i oczom podróżnych ukazała się jakaś rzeka, przez którą właśnie pociąg przejeżdżał.

— Co to za rzeka? — zapytali jednogłośnie chłopcy.

— A to właśnie pierwsza zwiastunka puszczy, ciemna Narew, tocząca swe czarne wody z głębi puszczy Białowieskiej. Ta harda Narew, która, nie chcąc

utonąć w Wiśle, jeszcze po zlanii się z nią długi czas płynie osobnym strumieniem, odcinającym się wyraźnie czarną barwą od żółtawych wód Wisły, jak powiada Klonowicz:

Tam Narew leśna, którać zajdzie w oczy,
Z prawego brzegu czarne wiery toczy...
Przy swoim łądzie daleko się wiesza...
Stroną prowadzi, niż przyjdzie do zgody,
Swe brudne wody.

Ta Narew właśnie była najstarszą drogą, po której Białowieża wysyłała swe płody w świat szeroki.

Jagiello, przygotowując się do wielkiej wojny z krzyżakami, zjechał do puszczy Białowieskiej wraz z Witoldem (w r. 1409) i tu przez 8 dni obaj polowali z całym dworem, żeby się zaopatrzyć na wojnę w zapas grubej zwierzyny. Nazabijawszy moc żubrów i losiów, kazali mięso nasolić i w beczkach spławiali Narwią, a potem Wisłą na Mazowsze.

W czasach pokoju ten sam Jagiello spławiał Narwią, a dalej Wisłą, solone pieczenie żubrów aż do Krakowa, ale nie jako zapas wojenny, lecz na podarunki dla uczonych profesorów Akademii krakowskiej, żeby i oni w ciasnych murach miasta mogli skosztować tego puszczańskiego przysmaku.

— A czy smaczne są te żubrówce? — zapytał nagle Józio.

— O! nowa zaleta! — krzyknął Julek — nie wiedziałem, żeś taki smakosz.

Ale Janek, nie zważając na tę przerwę, odpowiadał na zapytanie Józia:

Z puszczy Białowieskiej.

— Podobno mają one smak mięsa jeleniego. W Polsce dawniej uchodziły za przysmak, o który ubiegali się nie tylko monarchowie i wielcy panowie, ale nawet leśnicy i inni mieszkańcy puszczy starali się mieć koniecznie pieczenie żubrze na różnych uroczystościach, jak chrzciny lub wesela.

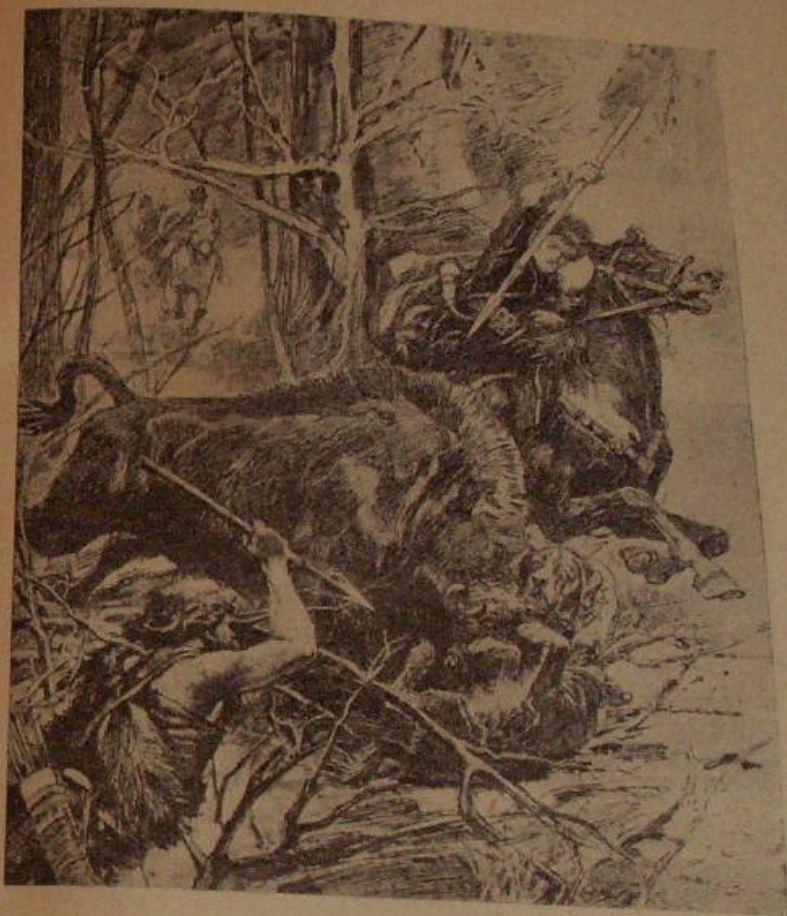
Zagadaliśmy się jednak znów o żubrach, a mieliśmy mówić jeszcze o tem, jak Narwią splawiano drzewo z puszczy.

Zasłużony badacz dziejów naszych, nieżyjący już profesor uniwersytetu warszawskiego, Adolf Pawiński, robiąc poszukiwania starych dokumentów w archiwach w Madrycie i Lizbonie, znalazł tam dowody, że kupcy hiszpańscy i portugalscy już w początkach wieku XV kupowali w Polsce drzewo na budowę okrętów i na maszty do nich. A splawiali je z lasów do morza Narwią i Wisłą. Niema wprawdzie w dokumentach, znalezionych przez Pawińskiego, wyraźnej wzmianki o Białowieży, nie ulega jednak wątpliwości, że drzewo, splawiane Narwią, musiało z niej pochodzić, tem bardziej, że puszcza Białowieska obfituje właśnie w takie idealnie proste i wysmukłe, bez sęków, gonne, masztowe drzewa.

Miał więc do pewnego stopnia słuszność Syromka, gdy pisał o sośnie litewskiej:

Pieszczota oceanu, dziwowisko świata,
Z twych bierwion wyciosana brytańska fregata.

Nie jest więc rzeczą niemożliwą, że na okrętach Kolumba, dążących na odkrycie nowych światów sterczały dumnie, jako maszty, sosny białowieskie.



LOWY JAGIELLY W PUSZCZY (Rys. N. Samokisz)

Ale taka sława nie przychodzi darmo. Poszukiwano takich pięknych, starych drzew, to też i wyrąbywano je sumiennie, a teraz wyrąbują jeszcze bardziej, bo drzew ładnych i starych coraz mniej. Już Mickiewicz wspominał o tem niszczeniu lasów.

A Kazio, wpadając bratu w mowę, zadeklamował:

Pomniki nasze! Ileż co rok was pożera
) Kupiecka lub rządowa moskiewska siekiera!

To też teraz z każdym dniem coraz trudniej w Białowieży o piękne, stare drzewa. Nie bójcie się jednak: nawet i taka, jak obecnie, Białowieża jest bardzo ciekawym i godnym widzenia zabytkiem. Choć ma gościńce, koleje, wsie i miasteczka, są tam jeszcze i dzisiaj »uroczyska« i »ostepy«, nie najdziksze wprawdzie, w każdym jednak razie takie, jakich nigdzie indziej już nie można zobaczyć.

— A powiedz nam, Janku — zapytał nagle Kazio — skąd powstała nazwa Białowieży? Czy znajdowała się tam kiedy jaka biała wieża, od której przewano puszcę?

— Pytanie niby łatwe, a jednak dość trudne, jak wogóle pytania o pochodzeniu nazw różnych miejscowości, sięgających odległych czasów. Jest rzeczą bardzo prawdopodobną, że mógł tu istnieć jakiś zameczek któregoś z książąt litewskich, ozdobiony białą wieżą. Ale czy był on istotnie, kiedy i w którym miejscu mianowicie, tego nie wiemy i nie dowiemy się chyba nigdy. Pierwsza pisana wzmianka o Białowieży znajduje się w dziele Dłu-

gosza, z połowy wieku XV. Wtedy więc już puszcza nosiła tę nazwę. I na tej wiadomości musimy poprzestać.

III

PRZYJAZD DO PUSZCZY

Dalsza droga koleją. — Opowiadanie o podróżach Glogera. — Charakter drzew w puszczy. — Mazurzy w Białowieży.

Niedużą, bo niespełna 40-kilometrową odległość między Białymstokiem a Bielskiem przejechano niepostrzeżenie. Nie dlatego zresztą, że pociąg podązał zbyt szybko, zużył on bowiem na tę prześwież prawie dwie godziny; ale gawędka z Jankiem i rozpytywanie się go o różne szczegóły wypełniły czas tak dalece, że chłopcy ani się obejrżeli, jak przed samą szóstą stanęli w Bielsku, gdzie trzeba było znów się przesiadać już do czysto lokalnego białowieskiego pociągu.

Wyglądał on mało zachęcająco.

— Gdzież my się tu pomieścimy? — dopytywał się zdumiony Józio, próżno upatrując osobowych wagonów w długim szeregu pustych platform i kilku towarówek, stojących przed dworcem.

— Ano, pojedziemy na pustej platformie, będzie nam przewiewniej. Przecież innego pociągu niema.

Innego istotnie nie było, a na dworcu kręciła się spora gromadka podróżnych, prawie wyłącznie żydów i włościan. Ruszywszy za nimi, chłopcy prze-

konali się, że na końcu pociągu znajdowały się wagony osobowe: jeden drugiej i jeden trzeciej klasy. — Arystokracja nie odwiedza, widocznie, puszczy wcale, kiedy nie przygotowano dla niej pierwszej klasy — rzekł Julek.

— Albo jeździ umyślnymi pociągami — dodał Kazio.

— Co za szczęście, że my nie jesteśmy arystokracją, bobyśmy musieli czekać na ten umyślny pociąg.

— Albo jechać na własnych nogach, per pedes apostolorum.

— Nie mówno dużo, a siadaj prędzej, bo ci tak pozajmują miejsca, że będziesz musiał stać na własnych nogach! — podpędzał Janek.

W wagonie było porządnie ciasno, nie dlatego coprawda, że do Białowieży jechało zbyt dużo osób, ale dlatego, że wagon był tylko jeden. Jakoś się jednak ulokowano.

Pociąg ruszył z wielkim hałasem, zgrzytem i sapaniem, ale z nie nazbyt wielką szybkością, nie o wiele jednak gorzej od białostockiego, choć tamto przecie była główna linja, a to bocznica.

Po drodze mijano pola, pagórki, gaje, wsie rzeczulki; nietylko jednak Białowieży, ale wogóle żadnych większych lasów nie było nigdzie widać.

— Czyś ty aby, Janku, pewny, żeśmy siedli, do właściwego pociągu? — spytał nagle Julek — bo mnie się zdaje, że my jedziemy nie do puszczy, ale od puszczy. Przecież koło Warszawy większe były lasy.

— Będzie, będzie i puszcza, nie obawiaj się!

Wspominałem wam już przecie, że najbliższe jej okolice są prawie zupełnie bezleśne. Ale niedługo ujrzymy już i samą puszcę. Bądź co bądź, jedziemy pociągiem, a nie tak jak Gloger, który włókł się z kilku towarzyszami olbrzymim drabiniastym wozem z budą płócienną. Prędko nie jechali, to prawda, ale zato robili wrażenie: żydzi w miasteczkach brali ich za wędrownych akrobatów, a włościanie w puszczy i okolicy za jakąś ważną komisję rządową, wóz bowiem był zaprzężony aż w 6 koni, sądzili więc, że nie byle kto nim jedzie.

— Szkoda, że my tak nie jedziemy — zawołał Julek — byłoby to znacznie oryginalniej, niż tą cywilizowaną europejską koleją, zupełnie nie odpowiadającą charakterem puszczy.

— Gloger odwiedzał puszcę Białowieską kilkakrotnie — ciągnął dalej Janek — raz, mianowicie w r. 1882, wspólnie z Henrykiem Sienkiewiczem, który opisał nawet tę wycieczkę w osobnym opowiadaniu. Sam zaś Gloger wydał ładne album »Białowieża w albumie« z widokami i opisem puszczy.

Jeszcze czas jakiś jechano bez lasu, wśród pól i pagórków.

Dopiero na milę drogi przed stacją Hajnówka zamajaczył na widnokręgu długi i wąski, ciemny pas. Była to puszcza. Chłopcy powitali ją okrzykiem. W miarę zbliżania się stawała się ona coraz barwniejsza, najpierw ciemnobłękitna, następnie zielona. Pas, przypominający początkowo chmurę, stawał się coraz wyraźniej lasem, i już bez trudu można było odróżnić w nim szeregi wysokich drzew i niższych zarośli, stanowiących podszycie.

— Nareszcie dojeżdżamy do puszczy, ale ja, przynajmniej dotychczas, nie widzę jeszcze w niej nic nadzwyczajnego — zauważył Kazio.

— I to ty tak mówisz, amator poezji i piękna? — zawołał Julek — czyż nie widzisz, jaki to olbrzymi las, jak szeroko rozciąga się przed nami! Co to tam musi być we środku?

— Tego właśnie nie widziałem jeszcze. A tymczasem las, jak las, może trochę większy od tych, co pod Warszawą.

Zatrzymano się na stacji Hajnówka, leżącej tuż pod okazałym sosnowym borem, który zwartą ścianą wysokich, smukłych i gibkich drzew zamykał widnokrąg. Dołem czerwieniły się proste, strzeliste pnie, w górze kołysały się z wiatrem zielone ich korony.

— Może i to nie ładny las? — zapytał Julek.

Ale w Kaziu wyrobiła się zaciętość, jak to nieraz bywa w dyspucie. Odrzekł więc:

— Ładny, nie przeczę, ale takie same bory mamy koło Wawra i Miłosny. To dla mnie jeszcze nie puszcza.

— A to ci wybredny pasażer!...

Po niezbyt krótkim postoju w Hajnówce, pociąg ruszył dalej ku stacji Białowieża.

— Czemuś nie odfotografował tego pierwszego widoku puszczy?... — zapytał nagle Julek Józia — czasu tu było tyle, że mogłeś nie tylko zrobić zdjęcie, ale jeszcze wywołać, utrwalić, skopjować, a nawet zanieść do Warszawy, pokazać rodzicom i wrócić.

— Ech, będę robił zdjęcia, jak wysiądziemy z pociągu.

Teraz jechano już lasem. Po obu bokach drogi wznosiły się drzewa, przeważnie sosny, o pniach wysokich, prostych i smukłych, pozbawionych zupełnie gałęzi, z wyjątkiem niewielkiej korony u wierzchołka.

— Potraciły dolne gałęzie — zauważył Janek. — Zwykła to właściwość drzew z wielkich gąszczów i wielkich lasów: każde z nich dąży do światła i rośnie przede wszystkim na długość; zacięzione zaś dolne gałęzie usychają, giną i odpadają. Utrzymują się na pniu jedynie górne, które wyrosną powyżej innych drzew. Są to jakby wzajemne wyścigi do słońca. Lud wyraża to poetycznie, mówiąc, że wszystkie drzewa dążą do tego, by »pogadać z niebem«. A Sienkiewicz bardzo dowcipnie określił tę właściwość drzew puszczańskich w sposób następujący: każde drzewo myśli tu o grubości dopiero wówczas, kiedy się już załatwiło z wysokością i wierzch w słońcu kąpać może.

— Są jednakże drzewa i krzewy, rosnące w cieniu i obchodzące się bez większego słońca.

— O, jest ich nawet dużo! Są to gatunki uzdolnione do poprzestawania na mniejszej ilości światła, i dlatego doskonale im się powodzi w cieniu. Tworzą one tak zwane »podszycie« wielkich lasów.

— Czy i teraz puszcza przypomina ci lasy pod Miłosną? — zapytał nagle Julek Kazia.

— Teraz już nie, wygląda jakoś inaczej, ale zawsze jeszcze za mało dziko: nie taką ją sobie wyobrażałem.

— Wygląda inaczej, bo są tu drzewa liściaste obok sosen. Widzisz tu, tam — wołał przejęty Julek,



PUSZCZA W ZIMIE (Fotografij)

pokazując osiki, graby, wiązy. — Nie wiem wprawdzie, co to za drzewa, bo mi je trudno poznać z okien wagonu, widzę jednak, że liściaste i że ładnie wyglądają.

— Dobrześ zauważył — rzekł Janek — ten mieszany charakter drzew obok ich gęstwiny słasna wprawdzie przeważa tutaj, ale obok niej rośnie mnóstwo innych drzew, tworzących czasami jednolite połacie lasu, częściej jednak w pomieszaniu z drugimi. To właśnie nadaje puszczy wielki urok, wielką różnorodność zieleni, której znajdujemy tutaj różne odcienie: od ciemnych, prawie czarnych świerków — do jasnych brzoź i klonów. Ładna jest puszcza nawet już i tutaj, ale i Kazio ma słuszną rację, że chce czegoś dzikszego, bardziej ponurego, więcej puszczańskiego, ostępów, maceczników, uroczysk... Poto przecie przyjechaliśmy tutaj.

— Tak, tak — zawołał Kazio — tego mi się chce właśnie, tego jądra puszczy, o którym napisał Mickiewicz:

Któż zbadał puszczy litewskich przepastne krainy,
Aż do samego środka, do jądra gęstwiny?
Rybak ledwie u brzegów nawiedza dno morza;
Myśliwiec krąży koło puszczy litewskich łoża,
Zna je ledwie po wierzchu, ich postać, ich lice,
Lecz obce mu ich wewnętrzne serca tajemnice.
Wiesz tylko albo bajka wie, co się w nich dzieje;
Bo, gdybyś przeszedł bory i podszyte knieje,
Trafił w głębi na wielki wał pniów, kłód, korzeni,
Obrońny trzęsawicą, tysiącem strumieni,
I siecią zielsk zarosłych, i kopcami mrowisk,
Gniazdami os, szerszeniów, kłębami wężowisk.

Gdybys i te zapory zmógł nadludzkim męstwem,
Dalej spotkać się z większym masz niebezpieczeństwem:
Dalej, co krok czyhają, niby wilcze doły,
Małe jeziora, trawą zarosłe napoły,
Tak głębokie, że ludzie dna ich nie dosłędzą
(Wielkie jest podobieństwo, że djabły tam siedzą).
Woda tych studni skłni się, płamista rdzą krwawą,
A z wnętrza ciągle dymi, zionąc woń plugawą.

— Brr! aż się zimno robi od tych szerszeni,
węzów, plugawych jeziorok!... Czy tylko są jeszcze
i dziś takie ostepy i uroczyska?

— Jest ich znacznie mniej i nie takie dzikie,
ale w każdym razie warte widzenia — odpowiedział Janek.

Po trzech kwadransach jazdy pociąg stanął
u kresów drogi, na stacji Białowieża. Podróżni
wysiedli.

— I to może Miłosna i Mazury? — pytał Julek,
pokazując włościan, w szarych siermięgach i cho-
dakach lykowych.

— Widzę, widzę, że to już nie Mazowsze i nie
Mazury — odparł Kazio — i przypomniawszy sobie
ustęp o Litwie z «Pieśni o ziemi naszej», dodał:

Koń obłączny w wózkach małych,
Lud w chodakach z lyka szytych,
W chatach dymem ogorzałych,
Dranicami płasko krytych.

Jakież jednak było zdumienie chłopców, gdy,
wdawszy się w rozmowę z włościanami, przeko-
nali się, iż jeden z nich był Mazurem, mówiącym
po polsku, chociaż wybitnie przeciągłym, litewskim

akcentem; i to nie jakimś przybyszem chwilowym,
ale osiadłym puszczaikiem, z dziada, pradziada.
Szczególniej Kaziowi nie mogła się pomieścić
w głowie ta niespodziewana obecność Mazura
w puszczy.

Ale Janek wyjaśnił zagadkę:

— W puszczy znajdują się całe wsie Mazurów,
zwanych tu budnikami. Sprowadził ich z nad Wisły
w wieku XVIII Tyzenhauz i osadził tutaj, jako spe-
cjalistów do wypalania smoły, dziegiu i potażu.
Do dziś dnia budnicy różnią się większym wzro-
stem i ładniejszą budową od miejscowych mie-
szkańców. Są też bardziej hardzi i dumni: powiadają
o sobie, że zostali sprowadzeni jeszcze za królów,
jako wyborowi i zdolni ludzie.

— A czy nie widzicie, jaką oni mają dziwnie
jasną, jakby nieopaloną i delikatniejszą cerę, niż
lud u nas? — zrobił uwagę Kazio.

— Bo też istotnie są nieopaleni — roześmiał
się Janek — przebywając ciągle w lesie, wśród
drzew, mało stykają się ze słońcem i nie opalają
się tak, jak ludzie mieszkający na otwartych prze-
strzeniach. Są jednak bardziej hartowni i wytrzy-
mali, przyzwyczajeni do surowego klimatu puszczy.
Ale czas nam w drogę!

Zabrawszy tobołki, wyruszono ku wsi, dla wy-
szukania noclegu. Ale przedtem Józio na pamiątkę
zrobił zdjęcie dworca.

IV

W PUSZCZY BIAŁOWIESKIEJ

Nowa Białowieża. — Polowanie Augusta III. — Nieco geografji puszczy.

Jako punkt główny na mieszkanie i podstawę do wycieczek obrano wieś Nową Białowieżę. Położona mniej więcej w samym środku puszczy, nadawała się ona wybornie do tego celu. Duże i porządne chaty mieszkańców, wyglądające na małe dworki, obiecywały, że nie trudno tu będzie o miejsce na nocleg.

Istotnie, znaleziono wkrótce porządną izbę, a gościnna gospodyni obiecała nawet ugotować obiad, żeby wędrowcy nie musieli poprzestawać na zimnych warszawskich zapasach.

Podczas, gdy gospodyni wzięła się do przyrządzania obiadu, chłopcy, nie chcąc tracić czasu na próżno, wyruszyli na oględziny wsi.

Wieś była imponująco duża i bardzo porządnie zabudowana. Niejedno miasteczko mogłoby się przed nią powstydić.

— Nowa Białowieża ma zajmować ze 12 kilometrów kwadratowych obszaru — mówił Janek — jest więc istotnie ogromną wsią. I odgrywa też ważną rolę: tu bowiem mieści się zarząd puszczy, tu się znajduje pałacyk cesarski. Tu w XVI wieku miał istnieć zamek królewski, po którym jednakże nie zostało wyraźniejszych śladów. Według innych podań, August III kazał tu wystawić drewniany pa-

lacyk myśliwski, do którego następnie Stanisław August przybudował dwa pawilony. Ale w r. 1812 jazda francuska pod wodzą generała Latour-Maourga, przechodząc przez puszcę, zniszczyła wszystko. Obecnie jest tu nowy pałacyk myśliwski, wzniesiony przez cesarzów rosyjskich i będący miejscem ich pobytu w czasie, gdy zjeżdżają do puszczy na polowania.

Uzyskawszy pozwolenie, chłopcy obejrzeni pałacyk, zbudowany w stylu wiejskich domów rosyjskich z wysokimi dachami, wieżyczkami, mnóstwem ozdób, rzuconych w drzewie. Naokoło otaczały go trawniki, pięknie utrzymane, klomby kwiatowe, grupy drzew. Wznosił się nawet słup z latarnią elektryczną, na którą bardzo kręcił nosem Julek, wróg wszelkich wymysłów cywilizacyjnych w puszczy.

— A czy niema tu żadnych pamiątek po dawnych łowach? — pytał Kazio.

— Zbyt starych niema wcale, ale jest słup, na pamiątkę polowania Augusta III — odpowiedział Janek.

Uszedłszy kawał drogi, chłopcy ujrzeni czworokątny obelisk z piaskowca, wysoki na 3 do 4 metrów, a wznoszący się tuż prawie nad rzeką Narawką.

Napis, wyryty na nim po polsku i po niemiecku, głosił, iż wzniesiono go na pamiątkę polowania, które tu urządzał August III — 27 września 1752 r. Napis wyliczał długą litanję uczestników tego polowania, na którym obecni byli, oprócz króla, królowa, dwaj królewicze, cały dwór oraz mnóstwo panów polskich i niemieckich, a wśród nich Jan

Wielopolski, cześnik koronny, najsłynniejszy myśliwy owych czasów.

— Ho! ho! — mówił Kazio — uczczono nawet leśniczych i strzelców, bo i ich nazwiska znajdują się na słupie.

— A na polowaniu zabito 42 żubry, z których największy ważył 1.450 funtów polskich — czytał dalej Julek — ale myśliwi pewnie nie uganiłi się za nimi z oszczepami, jak to dawniej bywało — dodał szyderez.

— Może jeszcze strzelali do nich z armat? — dorzucił Kazio.

— Prawie, że tak! — odpowiedział Janek. — Te łowy Augusta, zarówno, jak i dzisiejsze polowania w puszczy, nie mają już nic z dawnej tężyzny i dawnego hartu. Są raczej jedynie zwykłym zabijaniem zwierząt, prawie bez żadnego niebezpieczeństwa dla myśliwych.

Opis tego polowania Augusta III podał nam niejaki Brincken, autor dziełka o Białowieży, wydanego w r. 1828. Sam wprawdzie nie był on jego świadkiem, — ale zapisał opowiadania od takich, którzy je pamiętali.

Polowanie to odbyło się w jednym z ostępów straży Augustowskiej, nad małą rzeczką Jelarką. Obławę składało około 1.000 włościan z mnóstwem psów. Napędzili oni moc zwierzyny do wybranego ostępu, który otoczono siecią i ogrodzono płotem. W jednej części tego ogrodzenia, przezwanego «wielką kletnią» albo «królewskim ogrodem», rozbito namioty dla króla i jego świty i w tę stronę pędzono zwierzynę, do której strzelali król i jego

świta. Nawet i królowa brała czynny udział w tem polowaniu, a udział jej daje nam najlepsze pojęcie o jego charakterze: królowa, podobno, zajęła była czytaniem książki i strzelała tylko od czasu do czasu, jakby odniechcenia. Nie chybiła zaś ani razu i zabiła ogółem 20 żubrów. Nie były to więc wcale niebezpieczne, ani męczące łowy!

— Poprostu mordowanie biednych żubrów, oszołomionych krzykiem i hałasem obławy — rzekł Kazio.

Obejrzawszy obelisk, wrócono do domu, ale że obiad nie był jeszcze gotów, Janek, żeby nie tracić darmo czasu na czekanie, wydobyl mapę puszczy i zaczął zapoznawać z nią chłopców:

— Puszcza Białowieska rozciąga się po obu stronach rzeki Narewki, nad którą właśnie znajdujemy się obecnie. Nie ma ona naturalnych granic, w rodzaju rzek lub rzeczek i z biegiem lat ulegała to zmniejszaniu się, wskutek wytrzebienia po brzegach, to znów powiększaniu się, jak np. w r. 1831, kiedy rząd rosyjski dołączył do niej sąsiednią puszcę Świsłocką, położoną za rzeką Narwią i należącą dawniej do Tyszkiewiczów. Zato w ostatnich latach rząd posprzedawał kawalki puszczy na północy i południu, tak, że obecnie nie dochodzi już ona na północy do Narwi, jak dawniej.

Obszar jej wynosi przeszło 22 mile kwadratowe czyli 129.000 hektarów¹⁾, z tego przeszło 100.000 hektarów zajmuje las, a resztę pola, łąki, ogrody

¹⁾ Hektar nieco mniej niż 2 morgi, mianowicie 1 hektar = 1:824 morga.

i siedziby ludzkie. Obwód puszczy z powodu znacznej ilości klinów, wchodzących w jej głąb, jest stosunkowo duży i ma przeszło 180 kilometrów. Największa rozciągłość z zachodu na wschód wynosi około 50 kilometrów, najmniejsza zaledwie 30.

Jeżeli do właściwej puszczy Białowieskiej doliczyć przyłączoną do niej Świsłocką, to obszar jej będzie miał 30 mil kwadratowych; jeśli dodać jeszcze i sąsiadujące z nią mniejsze puszcze: Lacką, Szereszewską i Jałowicką, to wspólny ich obszar wyniesie 35 mil kwadratowych. Jest to największy obszar leśny w Europie środkowej.

Obszar ten stanowi niewysoko wzniesioną równinę o słabem sfałowaniu i licznych bagnach torfiastych, z których wypływają rzeki i rzeczki puszczańskie. Płyną one stąd na wszystkie strony: na zachód i północ, ku Wiśle i Bałtykowi, za pośrednictwem Narwi; tam też ostatecznie podążają i wody południowe, wlewające się do Bugu. Mała tylko część rzeczek z południowo-wschodniego kąta płynie do Dniepru i morza Czarnego. Rzeki więc puszczy należą do zlewisk dwóch mórz, ale w najważniejszej części do Bałtyku. Główny dział wodny znajduje się w południowo-wschodniej jej części. Tam też leży najwyższe jej wzniesienie, zwane Kozią Górą, a mające 400 metrów wysokości nad poziomem morza, gdy puszcza wogóle wzniesiona jest mniej więcej na 170 metrów.

Największą rzeką puszczy jest Narew, mająca źródło na wschodnim jej krańcu, w uroczysku, zwanem «Orłowe błoto». Płynie ona na przestrzeni przeszło 30 kilometrów samym brzegiem puszczy

Białowieskiej, którą oddziela od przyłączonej do niej obecnie Świsłockiej. Jest mocno bagnista i ma bieg powolny.

Znacznie ważniejszą rzeką od Narwi jest Narewka, lewy jej dopływ. Wypływa ona z błota, zwanego Nikorskiem i położonego również na wschodnim krańcu puszczy, ale bardziej na południe. Narewka płynie samym środkiem puszczy, dzieląc ją na dwie prawie równe części. Długość jej w puszczy wynosi do 65 kilometrów, i z tego jest ona splawna na przestrzeni przeszło 35 kilometrów. Ona więc stanowi główną, naturalną drogę w puszczy, do splawiania jej produktów. Nad nią też leży najważniejsza w puszczy miejscowość — Nowa Białowieża — a niżej, już na granicy dzisiejszej puszczy, miasteczko Narewka. Narewka wpada do Narwi o 6 kilometrów poza obecną granicą puszczy.

Narew i Narewka zbierają wody z wschodniej, środkowej i północnej części puszczy; z południowo-zachodniej zabiera je rzeczka Leśna, będąca dopływem Bugu, do którego wpada niedaleko słynnego w dziejach męczeństwa unitów Pratulina i stamtąd, zlawszy z nim swe wody, podąża już razem do Serocka, gdzie Bug łączy się z Narwią i potem wraz z nią wpada do Wisły. W ten sposób białowieskie wody, wypłynąwszy z dwóch końców macierzystej puszczy — Narwią i Leśną — spotykają się znów na Mazowszu, aby razem wlać się do Wisły. Puszcza więc znaczną swą częścią należy do jej dorzecza. Ludność puszczy jednakże składa się przeważnie z Rusinów; Polaków znajduje się tu znacz-

nie mniej: są to przytem przybysze z późniejszych czasów, przeważnie badnicy, o których wam już mówiłem.

Widzieliście już sami, że puszcza zaludniona jest niezgorzej. Jest tu ogółem 36 wsi mniejszych i większych oraz kilka miasteczek. Nas zresztą obchodzą teraz nie wsie i miasteczka, ale przede-wszystkiem osłepy, mateczniki, słowem wszystkie te miejscowości, gdzie ludzi jest najmniej, a zato najwięcej pierwotnej przyrody.

Dzisiaj po południu zrobimy sobie małą wycieczkę, gdzieś tu, w najbliższe okolice Nowej Białowieży, dla pierwszego zapoznania się z puszcza. A od jutra zaczniemy zwiedzać ciekawsze zakątki, położone w różnych jej stronach.

Na tem Janek skończył, bo właśnie gospodyni oznajmiła, że obiad jest gotów.

V

PIERWSZA PRZECHADZKA PO PUSZCZY

Gonność drzew i ich gatunki. — Mierzenie i fotografowanie drzew. — Ulewa. — Spotkanie ze strażnikiem.

Po obiedzie wyruszono na wycieczkę. A że nie miano zamiaru zapuszczać się zbyt daleko a chciano zakosztować odrazu smaku samodzielnej wycieczki, udano się więc w drogę bez przewodnika. Pakunki i peleryny pozostawiono we wsi, żeby mieć zupełną swobodę ruchów. Było wprawdzie dość gorąco, ale pogoda wydawała się zupełnie

pewna. Chłopcy wzięli z sobą jedynie nieco prowiantów oraz teczki i puszki na zbiory. Tylko Józio zdecydował się dźwigać pelerynę, z obawy, aby w razie deszczu nie zamókł mu aparat fotograficzny.

Wyszedszy ze wsi dość szerokim gościńcem, gromadka nasza bardzo prędko skręciła w bok leśną ścieżką, żeby odrazu wejść w gąszcz i zobaczyć prawdziwą puszcza, nie zeszepeconą przez człowieka, jak mówił Janek, gościńcami, drogami i porębami.

Póki chłopcy szli borem, droga nie przedstawiała wielkich trudności. Ale wkrótce natrafili na las liściasty, i tu już trzeba było nieraz wyszukiwać umyślnie drogi, żeby wyminąć gęsto splecione krzewy.

Julek, zawodowy przyrodnik, starał się nie uronić swej sławy i co chwila udzielał objaśnień historykowi i fotografowi.

— To jesion — mówił poważnie, wskazując na wysmukłe drzewo o gładkiej korze i pierzastych jasnozielonych liściach — ależ wysoki i prosty!

— Jesion, to może i sami poznamy — przerwał mu Józio — lepiej powiedz nam, co to jest takiego?

I wskazał ręką wysokie drzewo, o szarawej, dość popękanej korze i prostym pniu, dźwigającym niewielką koronę gałęzi z liśćmi, gdzieś tak wysoko, że jej prawie niesposób było dojrzeć.

Julek nawet nie próbował odgadnąć:

— Jakże chcesz, bym ci powiedział, kiedy ani jednego listeczka nie mogę zobaczyć.

— A widzisz, żeś nie dorósł botaniką do wysokości drzew w puszczy.

Julek kapitulował:

— Po korze to ja nie umiem poznawać.

Janek pośpieszył mu z pomocą:

— To jest lipa: jeśli komu nie wystarcza kora, to mamy tu na ziemi orzeszki z charakterystycznym żagielkiem na szypułce. No, i jest tu parę młodziutkich lipczek, rosnących skromnie u stóp starej; kto wie jednak, czy uda im się wybić, czy raczej nie zginą tutaj zagłuszone. Tę lipę jednak istotnie trudno poznać, tak zupełnie odmienna jest od naszych: zapatrzyła się na gonne sosny puszczańskie i poszła w ich ślady. Gdzież jej okazałe, szerokie konary, jakieśmy przywykli widzieć w mniejszych lasach i ogrodach? I jej widocznie zachciało się «z niebem pogadać», naśladować smukłe sosny masztowe.

Wszędzie ta gonność drzew rzuciła się w oczy: brzośli czy wiązy, graby, osiki, klony, brzozy, olchy — wszystko to odznaczało się tą samą wysmukłością i koronami w górze, z tą tylko różnicą, że nie wszystkie dorastały do jednakowej wysokości. Nawet majestatyczne królewskie dęby, zamiast rozrastać się potężnie wszere, brały udział w tych wyścigach całej braci leśnej i również rosły przede wszystkim w górę, niebotyczne, proste, zapomniawszy zupełnie o rosochach i pokręconych gałęziach, po których zwykle można je poznać zdaleka.

— Czysty kłopot z temi puszczańskimi drzewami — woła Julek — wyglądają zupełnie inaczej, aniżeli u nas.

— Ładnie tu, bo ładnie — dodaje Kazio — ale gdzież są te wielkie zwały próchniejących sta-

rych drzew? gdzie te stare olbrzymy, o których możnaby powiedzieć, że są naprawdę «rówiennikami litewskich kniaziów»? Przecie te drzewa nie są chyba tak bardzo stare? — dodał, zwracając się do Janka.

— Tak, te jeszcze nie są wcale bardzo stare. Zresztą te stare drzewa przerabano już porządnie, a nowe przecie nie postarzejają się tak na poczekaniu. Na to trzeba długo czekać! Mam jednak nadzieję, że uda się nam zobaczyć i tych patriarchów leśnych. Przecie dopiero cośmy się przywitani z puszczą: trudno wymagać, aby wszystkie swe skarby pokazała nam odrazu.

Po drodze Janek zbierał i wkładał do teczki różne rośliny. Julek, pochłonięty drzewami, nie zwracał uwagi na zioła, ale ciągle robił uwagi o lesie.

— O, już się skończyły drzewa liściaste i znów zaczynają się iglaste; ale to nie sosny, lecz świerki. Takie same jednak jak wszystko, bez gałęzi dołem, choć przecie świerk ma je zwykle aż do samej prawie ziemi.

— Tak, ale świerk parkowy lub rosnący na osobności, gdzie nic nie kępuje go z boków, nie przeszkadza mu rozrastać się na wszystkie strony. Tutaj, w walce z współbraćmi i innymi sąsiadami, traci on również dolne gałęzie, zachowując je dopiero na pewnej wysokości, ale w taki sposób, że pozostaje mu jednak piramidalny charakter korony, tak dla niego charakterystyczny. Wygląda też bardziej ponuro od sosny. Uważajcie tylko, że tu jest znacznie ciemniej, niż w sosnowej części boru. Ładne to drzewo, ale sosna weselsza od niego.

Sieroszewski, który również opisywał puszcę Białowieską, powiada o nim, że ma kształt dzwonnicy a charakter mistyczny, i porównywa go z zakonnikiem, ubranym w ciemny habit, który spuszcza mu się aż do samych stóp i dodaje mu powagi. Kiedy wiatr wieje, on nie śpiewa, nie jęczy, ale szepcze modlitwy i gderze.

— A jodły tu niema? — pytał Kazio — to takie ładne drzewo, ładniejsze od świerka!

— Jodla wogóle nie rośnie na Litwie, ani na Białej Rusi. A jeśli mówią tam często o jodłach i jodelkach, to mają zawsze na myśli świerk, przezywając go jodłą z rosyjska, od rosyjskiej nazwy «jel», «jółka». Jednakże tu, w puszczy Białowieskiej, rośnie i prawdziwa jodla, w ilości kilkuset okazów na trudno dostępnej kępie, w uroczysku, zwanem «Cisówką», albo «Cisanką». Lud nazywa ją «białym cisem» dla białej kory i układu igieł, jak u cisu; i stąd pewnie poszła nazwa tego uroczyska. Postaramy się być i tam także.

Las urwał się nagle, i podróżni z ciemnej gęstwiny świerków wyszli raptem na niedużą, ale bardzo ładną polankę.

— Ależ to olbrzym! — zawołał Kazio, wskazując na skraju lasu prześliczny, wysoki świerk, z gałęziami prawie od samej ziemi — ten to ma dopiero habit do samych stóp. Ciekawy jestem, ile wynosi jego wysokość.

— Nie łatwiejszego, jak zmierzyć. A zrobić to warto, świerk bowiem należy do najwyższych drzew w puszczy.

— Przecież nie wleziemy na niego ze sznur-

kiem — zauważył Józio, a dwaj inni chłopcy pokręcili tylko bezradnie głowami. Janek się roześmiał.

— I uczyło się to geometrii i zna trójkąty podobne, a drzewa zmierzyć nie może bez włożenia na wierzchołek. A każdy chłop potrafi to zrobić!

I tu Janek wyłożył chłopcom zasadę mierzenia wysokości drzew, przy której mierzący kładzie się w pewnej odległości od drzewa na ziemi nogami ku drzewu i wbija sobie przy nogach kij w taki sposób, aby wierzchołek drzewa, koniec kija i oko patrzącego leżały na jednej prostej. Tworzą się wówczas dwa podobne trójkąty, z których można wyliczyć wysokość drzewa ze wzrostu mierzącego, odległości jego od podnóża drzewa i długości kija.

Julek położył się na ziemi i starał się przez kij zobaczyć wierzchołek świerka. Nasuwał się wprawdzie dość po trawie, zanim znalazł właściwą pozycję, ale ostatecznie zmierzono drzewo, chociaż naturalnie tylko w przybliżeniu. Wysokość świerka wypadła okrągło 36 metrów.

— Dobry wzrost! — rzekł Janek.

Chłopcom zachciało się zrobić jeszcze jeden pomiar. Wypatrzyli w innym kącie polanki wysoki dąb; powstał zaraz spór, które z dwóch drzew jest wyższe: omal, omal, że nie porobiono zakładów. Szczególnie Julek obstawał zażarcie przy świerku, który od chwili zmierzenia uważał jakby za swoją własność.

Tym razem pomiaru dokonał Kazio, Józio zaś miał odfotografować oba drzewa.

Dąb jednakże nie dorównał świerkowi; miał on zaledwie około 24 metrów, co jest niby wzrostem niezgorszym, ale zawsze, co 24, to nie 36, jak mówił z dumą Julek.

Ale Kazio stanął w obronie »swojego« drzewa.

— A które zato grubsze?

Tu właściwie nie można było się nawet spierać: świerk był zupełnym chudzią przy krępym, grubym dębie. Objęto jednak dąb we czterech i ręce skrajnych chłopców ledwie się zeszły.

— Ma, na pewno, dobrych 6 metrów obwodu!

Świerka zato niesposób było zmierzyć: tak powysunwał daleko swe kosmate łapy na wszystkie strony, że nie tylko nie można było marzyć o osiągnięciu w jakikolwiek sposób jego pnia, ale go nawet zobaczyć było trudno.

— Wstydzi się, że taki chudy, jak patyk! — drwił Kazio.

— Ale zato przez wszystkich może z niebem rozmawiać.

Tymczasem Józio zaczął ustawiać aparat. Julek i Kazio usiedli każdy pod »swojem« drzewem dla porównania, jak mizernie i drobno wygląda człowiek wobec olbrzymich drzew puszczy.

— Lilipuciki! — żartował Julek.

— Ale kto wie zato, czy na nasze marne lilipucie głowy nie kładzie się w tej chwili cień, który

Spadał niegdyś na koronne głowy
Groźnego Witenesa, Wielkiego Mindowy
i Gedymina

— Brak wam tylko niedźwiedziej skóry i ogniska myśliwskiego, przy którym moglibyście się posilać żubrzymi pieczeniami i słuchać pieśni mądrego Lizdejki.

Klap! stuknął aparat Józia, robiącego w tej właśnie chwili zdjęcie drugiego drzewa. Poczem sam fotograf dodał:

— Po ciężkiej pracy pomiarów i fotografowania wnoszę projekt odpoczynku: zamiast niedźwiedziej skóry mamy świeżą puszczańską trawę — albo moją pelerynę, kto nie chce samej trawy; zamiast żubrzej pieczeni — wczorajsze warszawskie kollety i chleb; zabierajmy się więc do podwieczorku!

Projektowi przykłaśnięto jednogłośnie; spożyto prawie w jednej chwili szczupłe zapasy i po krótkim wypoczynku zagłębiono się znów w las z drugiej strony polanki.

Uszedłszy kilkaset kroków, chłopcy stanęli zdumieni. Oczom ich przedstawiło się znów miejsce, oczyszczone z drzew, ale najwidoczniej w sposób gwałtowny, wyglądało bowiem, jakby pobojuwisko: tyle tam drzew leżało poprzewracanych. Na samym przodzie, u stóp kilku wyniosłych świerków, leżał stary, tęgi dąb, wyrwany z korzeniami. Szeroka podstawa jego z rozchodzącymi się korzeniami i ziemią, zaplątaną w ich rozgałęzieniach, wyglądała jak wielka czarna ściana, kryjąca poza sobą jakąś tajemnicę.

Józio wdrapał się na plecy Julka, ale i w ten sposób nie mógł dostać do wierzchu tej ściany. Dopiero wspiąwszy się na ramiona Janka, z trud-

nością sięgnął palcami górnego jej brzegu, jednak nawet i wtedy nie mógł zajrzeć poza nią. Kazio tymczasem obazedł ją i, wdrapawszy się na powalony pień, usiadł na nim i zaczął deklamować «Pana Tadeusza»:

Na dole jak ruiny miast: tu wywrót dębu
Wysterka z ziemi, nakształt ogromnego zrębu;
Na nim oparte, jak ścian i kolumna oblamy,
Tam gałęziste kłody, tu wpółzgnile tramy,
Ogrodzony parkanem traw. W środek tarasu
Zajrzeć straszno; tam siedzą gospodarze lasu,
Dziki, niedzwiedzie, wilki; u wrót leżą kości
Napół ząryzione jakichś nieostrożnych gości.

— Oto są — wołał Julek, podnosząc triumfalnie z ziemi jakąś kość — taki sam los czeka i nas, jeżeli ośmielimy się przejść te zwały i kłody i wstąpić w krainę, przed którą ostrzega Mickiewicz:

Za temi jeziorkami już nietylko krokiem,
Ale daremnie nawet zapuszczać się okiem,
Bo tam już wszystko mglistym zakryte obłokiem,
Co się wiecznie ze trzęskich oparzelisk wznosi.

— A jednak musimy tam pójść — odrzekł Kazio — bo

za tą mgłą nakoniec (jak wieść gminna głosi)
Clagne się bardzo piękna, żyzna okolica,
Główna królestwa zwierząt i roślin stolica.

I, stanąwszy na wywalonym pińcu, Kazio zaczął podążać w stronę Julka, deklamując patetycznie «Pana Tadeusza», gdy nagle stracił równowagę i runął wdół między gałęzie. Nic mu się wprawdzie nie stało, ale jeden bok teczki zielnikowej



uległ dość znacznemu przelamaniu, czapka znikła gdzieś zupełnie między gałęziami, a włosy Kazia przyozdobiły się suchymi liśćmi.

— Nadwornego poetę puszcza uczciła wieńcem dębowym.

— I naznaczyła go kresą przez czoło.

— A, co najważniejsza, zabrała mu czapkę.

Czapkę jednakże wyciągnięto z pod gałęzi, kresa mogła stanowić niezbity dowód pobytu w puszczy, a teka... była jeszcze bez roślin. Nie rozpazano więc zbytnio nad tym wypadkiem i ruszono w dalszą drogę.

— Hej! ostrożnie — krzyknął nagle Julek, który w zapale podróżniczym wysunął się o kilkadziesiąt kroków naprzód — bagno jakieś!

Istotnie, nogi zaczęły zapadać w błoto, woda tryskała z pod nich, a naokoło widać było same prawie olchy. Trzeba było obchodzić i szukać suchszych dróg. Za chwilę las się przeredził, po lewej ręce ukazała się jakby smuga wody, a za nią zarośla i trzciny.

— Jakaś rzeczka puszczańska — rzekł Janek — o niskich, podmokłych brzegach, jak to zwykle bywa. Wszystkie prawie rzeki w puszczy mają ogromnie mały spadek, płyną nadzwyczaj wolno, prawie niedostrzegalnie, tworząc po brzegach błota i rozlewy, oraz wyspy, porośnięte trzcina, tatarakiem, liściastymi zaroślami, często nawet i drzewami.

Mowę Janka przerwał przeciągły grzmot. Zając przedzieraniem się przez gąszcze, a później przez bagno, podróżni nie zauważyli, jak niebo zaciągnęło się chmurami i zbliżała się bardzo szybko

burza. Wicher wstrząsał wierzchołkami drzew i spędział coraz to czarniejsze chmury. Błysk rozdarł nagle obłoki, huknęło jeszcze raz i prawie w jednej chwili puścił się ulewny deszcz.

Ruszone śpiesznie zpowrotem do lasu. Zanim jednak chłopcy zdążyli ukryć się w większym gąszczu, deszcz zlał ich, jak z cebra. Jeden tylko Józio, który z przezorności wziął z sobą pelerynę, był jako tako zabezpieczony. Ukrył on pod nią zielnik Janka, ale zato teka Julka, niesiona bez żadnej osłony, wyglądała bardzo smutno. Ukryci w gąszczu chłopcy wsłuchiwali się w dudnienie kropel po liściach. Od czasu do czasu przeleciała błyskawica po niebie, i grzmot donośnym echem rozchodził się w puszczy. Ale odgłosy stawały się coraz cichsze, nawałnica słabła, oddalała się.

Skoro tylko deszcz z ulewnego przeszedł w rzadki, kroplisty, chłopcy wypadli z kryjówek i szparkim krokiem ruszyli na poszukiwanie jakiej ludzkiej siedziby. Z wyjątkiem Józia, wszyscy przemokli do nitki; z butów tryskała woda za każdym krokiem, a ubrania leżały na nich, jak ulane.

— To nas puszcza ochrzciała!

— W dodatku nie mamy pojęcia, jak daleko stąd do wsi i jak długo jeszcze wypadnie nam błądzić po lesie, zanim będziemy mogli się osuszyć? Ale w tem sztuka: dać sobie radę w każdym położeniu! No, kto pierwszy odnajdzie drogę do ludzi? Tym pierwszym okazał się Józio. Wprawdzie cała jego zasługa polegała na tem, iż pierwszy usłyszał szczekanie psa w pobliżu, ale czemuż inni nie uprzedzili go w ohwieszczeniu tej radosnej wieści?

Po chwili zatrzymano się przed domkiem strażnika leśnego, który przyjął podróżnych bardzo uprzejmie, a na ośmienie się wymyślił bardzo prosty sposób: polecił wszystkim rozebrać się do noga i wleźć w siano, złożone w szopie. Ubranie zaś i obuwie porozwieszał tymczasem na płocie, na słońcu; później to się je dosuszy do reszdy przy ogniu.

Józio, którego ubranie znacznie mniej ucierpiało od deszczu dzięki pelerynie, usiadł na przyzbie na słońcu i wygrzewał się na niem, wpośrodku suszących się strojów.

Wtem z lasu wysunęła się jakaś postać ludzka i podążała ku chatce. W miarę zbliżania się nie trudno było poznać, iż jest to ktoś wojskowy, z szabłą i rewolwerem. Józio rozpoznał w nim strażnika policyjnego.

— Oho, pewnie będzie się czepiał o paszport!

Strażnik, zbliżywszy się, z podziwem spojrzał na chłopca w uczniowskim ubraniu i zaraz wdał się z nim w rozmowę, skąd się tu wziął i co porabia w puszczy.

— Tak, tak, teraz to strasznie weszły w modę wycieczki młodych ludzi do puszczy. Może to i dobre, ale dla nas tylko kłopot: zaraz trzeba ich śledzić. Mało to bandytów i rewolucjonistów wśród młodych paniczów, choć niby wyglądają porządnie?.. Kto ich tam odgadnie? A gdzież towarzysze pana i kierownik wycieczki? Chciałbym go zobaczyć. Możeby on tu wyszedł z chaty?

— O, jego zobaczyć nie można! I on tu przyjść nie może!

— A gdzie on jest? — pytał przeżony strażnik — może uciekł?

— Nie. On się schował w stodole!

— W stodole? zasadzka? a dużo tam ich jest?

— Trzech.

Strażnik trzepnął się po szabli, pomacał rewolwer.

— Niech-no pan ich tu poprosi; bo ja raport napiszę, a do stodoły nie pójdę.

— Kiedy oni nie mogą przyjść.

— Może ranieni? Hej, gospodarz!

— Oni tylko ubrań nie mają, bo zmokli na deszczu i ubrania suszą się na płocie, więc siedzą w słomie: przecie bez ubrania nie mogą wyjść tutaj.

Wtem wyszedł z chaty gospodarz, i obaj ze strażnikami poszli do stodoły, gdzie oczom ich przedstawiły się tylko trzy głowy, jakby odcięte i zanurzone w sianie.

— A prawda, że w sianie ciepło i miło.

— Miło, to miło, trochę tylko kłuje. A tu jeszcze pan strażnik chce nas wyciągnąć!

Ale, że paszporty były w porządku, dał więc strażnik spokój podróżnym i odszedł, mruczając tylko:

— Też ochota włóczyć się po puszczy i moknąć. A wszystko, aby policja miała więcej roboty.

Spędziwszy parę godzin u strażnika leśnego na osuszeniu się i rozpytawszy się dobrze o najbliższą drogę do Białowieży, wędrowcy nasi opuścili jego dom i o samym zmierzchu stanęli znów we wsi, zmęczeni, ale zadowoleni z tej pierwszej znajomości z puszczą.

VI

WYCIECZKA DO ZAMCZYSKA I STAREJ BIAŁOWIEŻY

Stogi na palach. — Opowiadanie o żubrach. — Spotkanie Janka z żubrem. — Zameczysko i jego dzieje. — Rzadki storczyk. — Stara Białowieża. — Wspomnienie o Dembińskim.

Na drugi dzień wyruszono znów w drogę, ale już z przewodnikiem i ze ściśle określonym celem wycieczki. Miano zwiedzić dwa uroczyska, zwane Starą Białowieżą i Zameczyskiem. Droga prowadziła na północny zachód, na lewy brzeg Narewki.

— Najpierw będziemy szli ludną okolicą, bo w tej stronie jest kilka wsi, a później za rzeczką Lutownią zapuścimy się w puszcę — objaśnił przewodnik.

Gromadka nasza unikała jednak, ile możności, gościńca, zbaczając z niego ciągle, ilekroć nie przedłużało to zbytnio drogi. W gąszczu leśnym wśród traw i krzewów było weselej, a zresztą i zobaczyć można było więcej i zebrać niejedną ciekawą okaz. Tym razem i Julek botanizował zawięciem, na wyścigi z Jankiem i podług jego wskazówek. Wysuszona i jako tako podłatana teczka grubiała z każdą chwilą.

Wkrótce las się urwał i podróżni wyszli na obszerną łąkę. Pierwsza rzecz, jaka im się rzuciła w oczy, był stóg siana, umieszczony na palach.

— To ci śmieszny stóg — zawołał Józio — stoi, jakby na nogach! Nigdy nie widziałem nic podobnego.

— Boście z suchszych krajów, paniezu — objaśniał przewodnik — u nas tu bagien dość, i musimy tak układać siano, żeby nam nie zamokło. Często to je chowamy nawet do takich szop, jak ta, którą tam dalej widzicie.

Chłopcy podbiegli ku budynkowi, który zdaleka wzięli za chatkę i sprawdzili, iż jest to istotnie szopa bez okien na skład siana.

— W takich szopach, to nawet bezpieczniej, bo żubry nie ruszą.

— Alboż żubry przychodzą na wasze łąki i ruszają wasze siano?

— Tutaj to nie, bo ich tutaj niema, ale tam dalej, to nieraz przychodzą, rozrzucają stogi i zjadają siano, choć mają i swoje własne, umyślnie dla nich gromadzone.

— Przecież je można odpędzić.

— Nie zawsze człowiek dopatrzy wpore, a przytem, czy to taki zwierz boi się ludzi? Wyjdą na niego chlōpi gromadą z drągami i krzykiem, a on tylko stoi, ogonem wywija, językiem się oblizuje, a potem jak nastawi rogi i rzuci się na ludzi, to wszyscy odrazu w nogi, a on spokojnie wraca do siana.

— Tacyście odważni!

— Spróbowalby pan! Taki żuber to i wołu weźmie na rogi i przerzuci przez siebie, a nawet brzuch mu popruje, a cōż dopiero człowieka! Był tu niegdyś, powiadają starzy, żuber, co wychodził na drogę, jak kto wioził siano, wozem, czy saniami, i nie ustąpił z drogi, aż dopóki mu się nie rzuciło wiązki siana. Taki jak się zawziął na którą łąkę, to

bieda był! Powiadają, że jak zdechł, to ludzie aż na mszę dali.

— A nikt tam nie pomoże takiemu żubrowi? Od czegoż są strzelby, gdy wam już za bardzo dokuczy? Czy tego nie próbujecie?

— Ktoby ośmielił się to zrobić, kiedy za zabicie żubra położono 700 rubli kary i 10 lat turmy. Jak za kryminal, i to duży.

— Ja bo slyszalem — odezwał się Janek — że taki dokuczliwy żubr to nie zawsze ginie śmiercią naturalną, że mu tam czasem ludzie pomogą w ciemną, burzliwą noc, kiedy wicher głuszy odgłos strzelby w jakimś dalszym ostępie. I nieprędko potem znajdują go strażnicy. Tak przynajmniej opowiadał pan Gloger, który zwiedzał puszcę przed kilkunastu laty.

— Ja tam o tem nie wiem — odrzekł niechętnie przewodnik — bo żubrów mało widuje. Może tam się i znajdzie śmiełek, co go zechce zaczepić, ale to niebardzo bezpiecznie w pojedynkę nastawać na niego.

— Ten sam pan Gloger — mówił Janek — zapisał opowiadanie strzelca, który razu pewnego spotkał się bez broni ze starym żubrem. Żubr był jakoś gniewny i nastawił się rogami na strzelca. Ten schronił się za sosnę i, nie mając innej broni, rzucił nań swą torbę borsuczą. Ale żubr jeszcze się więcej rozgniewał. Wówczas strzelec padł, jak długi, na ziemię, wiedząc, że żubr ma za krótkie rogi, aby je podsadzić pod leżącego człowieka. I uratował się w ten sposób, tylko brodacz pomacał go rogami po łopatkach i popruł mu burkę.

— Ale nie wszystkie żubry są takie złe! — odezwał się przewodnik: — jak ich nie ruszać, to i one nie zaczepiają ludzi.

— A jakie trawy żubry najchętniej jedzą? — pytał Julek — wiesz co, Janku? Warto by było takie żubrze trawy zebrać do zielnika.

Ale przewodnik niebardzo znał się na botanice i nie umiał odpowiedzieć na to zapytanie.

Zało Janek był na nie najzupełniej przygotowany: miał on wynotowane nazwy ulubionych «żubrzych» roślin i obiecał pokazać je Julkowi.

— Lubią one szczególnie pewną trawę, zwaną od nich «żubrówką», a po łacinie *Hierochloa australis*. Ma ona bardzo miły zapach, który zachowuje długo po wysuszeniu, i dla tego zapachu lud puszczański robi z niej przymieszkę do tabaki. Poza tem zresztą jedzą żubry mnóstwo innych traw i ziół; są także wielkimi amatorami młodej kory z drzew i krzewów.

— A inne zwierzęta nie robią wam szkód? — pytał tymczasem Kazio przewodnika.

— Dziki, gdy przyjdą na pole. Ale te w szkodzi wolno zabijać. Zato jelenie i sarny można tylko hałasem odpędzić. One jednak mniej szkodzą.

Posuwając się naprzód, podróżni nasi minęli z drugiej strony Narewki niedużą wieś Budy Pogorzelce, mającą zaledwie dwadzieścia kilka domów mieszkalnych i zamieszkaną przez hardych Mazurów budników. Jeszcze dalej przeprawili się po niezbyt pewnej i mocno trzęsącej się kładce przez zeczkę Lutownię, będącą dopływem Narewki. Na

stępnie zapuścili się w las o wyglądzie bardziej gęstym i dzikszym.

— Józio! na miłość boską, zanim zginiemy w tym ostępie, stratowani przez żubry, lub utoniemy w bezdennych błotach puszczańskich, odfotografuj nas na tej kładce, której samo przejście należy do czynów bohaterskich! — wołał Julek.

Gromadka nasza ustawiła się wcześniej na kładce, wcześniej obok niej, i Józio dla pewności zrobił aż dwa zdjęcia; następnie zaś na ogólne żądanie zajął sam miejsce na kładce, a Janek odfotografował 3-ch chłopców z przewodnikiem.

Na odpoczynek zatrzymano się na niedużej polanie, w cieniu rozłożystych drzew. Posiłono się skromnymi zapasami i porozmawiano trochę z przewodnikiem o życiu w puszczy i o żubrach. Późem uchwalono jednogłośnie przespać się nieco dla nabrania sił przed dalszą drogą.

Ale Julek tak był przejęty chęcią powiększenia swych zbiorów botanicznych, że nie chciał spać, lecz postanowił poszukać trawy żubrówki na polance i w najbliższym jej sąsiedztwie.

— Nie odchodź tylko daleko — upomniął go Janek — żebyśmy nie potrzebowali szukać cię długo.

Ułożono się do drzemki. Nie trwała ona jednak długo. Smaczny sen został nagle przerwany krzykiem Julka: Żubr, żubr!

Wszyscy zerwali się na równe nogi i ujrzeni Julka, wypadającego z gąszczów na przeciwnej stronie polanki i pędzącego naoslep ku nim. Po drodze leżały dwa ogromne zwalone dęby. Julek skoczył na nie i w tejże samej chwili z krzykiem znikł

z przed oczu towarzyszków, zapadając się w spróchniałych pniach.

Ale jednocześnie prawie z gąszczu wybiegł ogromny, brodaty żubr, łamiąc po drodze gałęzie i krzaki. Kilku potężnymi skokami przesadził polankę i znikł znów w gęstwinie.

Tymczasem ze zbutwiałego pnia wyloniła się rozwichrzona i osypana próchnem głowa Julka, oglądającego się na wszystkie strony z przerażeniem.

— Gdzie żubr? — zapytał drżącym głosem.

— Wylaż-że już, tchórze jeden — śmiali się Kazio i Józio — żubra już dawno niema.

— Ale gonil mnie przecież!

— To jeszcze wielkie pytanie! — wtrącił Janek — wyglądał na nie mniej przerażonego od ciebie. Opowiedz nam jednak, jakeś się z nim spotkał i dlaczego uciekałeś tak gwałtownie?

Pokazało się, że Julek, blakając się po sąsiednich gąszczach, tak się cały przejął szukaniem roślin, że ani się opatrzył, jak podszedł tuż prawie do śpiącego żubra. A gdy obudzony nagle zwierz podniósł na niego oczy, tak się przeraził tem niespodziewanem spotkaniem, że krzyknął i rzucił się do ucieczki.

— A żubr, zdziwiony odwagą warszawskiego botanika, ruszył za nim, żeby sprawdzić, jak to wyglądają mężczyźni warszawiacy.

— Szkoda tylko, żeśmy nie byli na to przygotowani i że Józio nie stał z aparatem: byłby uwiecznił twoje męstwo.

— Śmieście się, śmieście — odezwał się zirytowany Julek — na pewno zmykalibyście jeszcze

lepiej ode mnie. Mało to nasłuchaliśmy się dzisiaj opowiadań o złośliwości żubrów i o ich zaczepianiu ludzi.

— A gdzież twoja teka i czapka? — pytał Janek, widząc, że Julek nie ma tych rzeczy.

Trzeba było ruszyć na poszukiwania, które zresztą nie trwały długo: teka znalazła się na ziemi, a kapelusz na krzaku leszczyny. Przy sposobności obejrzano odcisk potężnego cielska żubra na miękkim, wilgotnym mchu.

— Cóż to za zapach taki mocny i nieprzyjemny? — pytał Józio.

— To zapach piżma, który wydzielają z siebie żubry, a którym tu przesiąkł widocznie mech, służący im za posłanie.

Po tej przygodzie odpadła już chętka do snu; ruszono więc dalej do głównego celu dzisiejszej wycieczki, do uroczyska «Starej Białowieży».

Posuwano się ku północy, mniej więcej równolegle do biegu Narewki, ale nie szeroką, utartą drogą, lecz lasem, przez gąszcza, bagienka, zwały drzew, nieraz tak potężnych, że tworzyły rodzaj barykad, i wędrowcy nasi stawali przed nimi niepewni, jak przebrną na drugą stronę takiej barykady. Wdrapać się na nie można było, ale trudno było ręczyć, czy się nie zapadnie w spróchniałą głąb drzew, jak się to przytrafiło Julkowi w ucieczce przed żubrem. Zwalczono jednak wszystkie przeszkody: przebrnięto bagna, zwały i zatrzymano się wreszcie w miejscowości, zwanej «Zamczyskiem».

Chłopcy ujrzeli przed sobą wzgórek, porośnięty starymi, wyniosłymi drzewami. Na stokach krzewiły

się bajnie paprocie i różne zioła; a od czystej ich zieloności jaskrawo odbijały różnobarwne kwiaty.

— Ładnie tu — rzekł Kazio — ale gdzie jest zamczysko? Nie widzę nawet jego śladów.

— Ślady możeby się znalazły, gdyby poszukać trochę — zauważył Janek — przyjrzyj się uważnie, a dostrzeżesz tu i ówdzie stopy kamieni. Chodźmy na wzgórek.

Zaczęto się wspinać. Z pod ziół sterczały istotnie większe i mniejsze kamienie, całe porośnięte mchem. Oddawna, widocznie, leżały już tutaj.

— Ostrożnie! ostrożnie! — woła Julek — tu pod tem zielskiem jest jakiś dół.

— Zapewne piwnice lub fundamenty tego starożytnego zamku, który tu wznosił się niegdyś — mówił Janek — i w nim leżą kamienie, również stare i omszone. Hej! hej! miejsce to już dawno zostało opuszczone przez ludzi. Spójrzcie tylko: ze środka dołu wznosi się dąb, a jaki wielki i tegi. Stoi on tu już dobrych parę wieków, a przecież nie wyrósł za czasów istnienia zamku, ale wtedy dopiero, kiedy ten już leżał w gruzach.

— I żadnych wzmianek niema o historii tego zamku i czasach jego istnienia? — pytał Kazio.

— W każdym razie bardzo skąpe. Wznosił się on tu, według wszelkiego prawdopodobieństwa, za Jagielly. W nim, zapewne, mieszkał ten król wraz z Witoldem, gdy urządzali wielkie łowy w r. 1409 przed wojną z krzyżakami. Do niego zjechali obaj bracia ze swymi rodzinami i dworami w r. 1426, gdy straszny mór grasował po kraju, pustosząc wsie i miasta i zapędzając ludzi w niedostępne zakątki

borów. Za gęstą, zieloną ich ścianą żyli bezpiecznie i spokojnie, aż dopóki zaraza nie ustąpiła. Inaczej tu było wówczas na tej górze: gwarno, rojno i wesoło. Nie tak pusto, jak dzisiaj.

Ale wzgórek ten pamięta znacznie dawniejsze czasy, tak dawne, że ludzie o nich zapomnieli już od wieków, gdy wspomnienia o zamczku Jagielly żyją jeszcze dotychczas. Okolice wzgórka tego były zamieszkałe w bardzo dawnych, pogańskich czasach. A dowiedziano się o tem przypadkiem przed laty kilkudziesięciu.

O zwaliskach tego zamku, jak o wszystkich prawie zamkach, istniały podania, że w podziemiach ich znajdują się wielkie skarby, których pilnują złe duchy; że nocami skaczą tu błędne ogniaki po kamieniach; że tu króluje nieczysta siła i inne tym podobne opowieści. Przesądny mieszkaniec puszczy unikał tych zwalisk nocami, a jeśli nie mógł ich wyminąć, to żegnał się ze strachem i starał się oddalić jak najprędzej.

Byli jednak i tacy, którzy drwili z zabobonów, ale wierzyli w zakopane skarby. W r. 1825 pewien obywatel z okolic puszczy zapragnął je osiąść. Podkradał się więc tu nocami i kopał. Ale gdy raz został dostrzeżony przez jednego ze strzelców puszczańskich, przestraszył się odpowiedzialności, jakaby mogła go czekać za kopanie na gruncie rządowym, i sam pośpiesznie doniósł do gubernji, że według jego przypuszczeń w uroczysku tem są zakopane skarby. Zjechała wówczas umyślna komisja rządowa z Grodna, rozkopala grunt, nie znalazła jednak żadnych skarbów, lecz jedynie mnóstwo ludz-

lich grobów, których istnienia tutaj nikt z okolicznych mieszkańców ani przypuszczał nawet.

Może to są grobowce *ladzwingów*, a może sięgają one jakichś jeszcze dawniejszych, przedhistorycznych czasów. Kupy glazów, pościelane w taki sposób, jak tutaj, znajdowano na przedhistorycznych cmentarzyskach w Mongolji. Stare więc i bardzo dawne są dzieje tego zamczyska: wiele już ludzi przewinęło się tutaj przez tyle wieków! A dziś tylko rośliny królują na tym wzgórcu.

— Ale zato co ich tu jest i jakie piękne!

— Patrzcie-no na tę osobliwość — dodał Janek, zrywając i pokazując chłopcom przeliczny storczyk, o żółtej, nakrapianej purpurą koronie w kształcie małego pantofelka, rozszerzonego na końcu; — w sam raz dla tych laskich branków, o których powiada Mickiewicz w «Trzech Budrysach»:

A tak małe ich nożki,
Że za trzewik drzewczynie swawolnej
Może służyć kwiat pewny,
Zwany trepkim królowej,
Kwiat nie większy od lilii polnej.

Nie wiem zresztą, czy Mickiewicz ten właśnie kwiat miał na myśli i ten zwał trepkim królowej. Naukowa jego nazwa jest obuwik pospolity (*Cypripedium calceolus*), oznacza więc ostatecznie to samo. Storczyk ten w kraju naszym należy do bardzo rzadkich, ale w puszczy nie jest wcale osobliwością.

Z »Zamczyska« udano się do »Starej Białowięzy«, pięknego, starego uroczyska, położonego tuż nad Narewką. Śliczny to był zakątek: potężne, okazałe dęby i inne drzewa liściaste szumiały po-



ATAK UŁANÓW
CHŁADNIEJEGO NA
WÓJNA GŁÓW
CIEPŁY
WŁÓDZA
WE WSI
KOPANIE
BIAŁO
BIAŁO

ważnie gałęzmi, u stóp ich rozścielał się aksamitny kobierzec traw i różnych ziół; powoli i spokojnie toczyła swe czarne wody Narewka, a słońce, zniższy się już nieco ku zachodowi, grało światłem na wierzchołkach drzew.

— Tu skończymy marsz ku północy — rzekł Janek — gdybyśmy szli dłużej z biegiem Narewki, dotarlibyśmy do miasteczka tegoż nazwiska, położonego już na samym skraju dzisiejszej puszczy. Miasteczko to, dawna parafja i wielki świat dla puszcza-ków, dla nas nie przedstawiałoby nic ciekawego.

— A czyż niema tam żadnych pamiątek? — pytał Kazio.

— Chyba że się ich niewiele znajdzie. Co najwyżej historyczny most, na którym 28 lipca 1831 r. generał Dembiński, wykonawszy słynny odwrót z Litwy przez puszcę Białowieską, spotkał Różyckiego, ciągnącego dopiero na Litwę. Nie było już tam jednak iść poco! Obaj więc wodzowie udali się stąd razem do Królestwa, aby być wkrótce świadkami upadku sprawy narodowej. Rok 1831 nie pozostawił śladów w puszczy Białowieskiej, nie było w niej bowiem żadnych większych bitew. Odbywały się jednak mniejsze utarczki i znów, jak w r. 1812, żubry słyszały ryk dział, świst kul i widziały ludzi zbrojnych, zwalczających się wzajemnie.

Gdybyśmy mieli więcej czasu, mogliśmy dojść do Narewki i zwiedzić tę część puszczy, gdzie się odbyło spotkanie Dembińskiego z Różyckim. Ale że go nie mamy dużo, zużytkujemy go lepiej na obejrzenie ciekawszych zakątków i zwrócimy się znów na południe.

VII

OSTATNIE DNI POBYTU W PUSZCZY

Zwierzyniec. — Góra Batorego. — Nieznanowo i cisy. —
Błoto Nikorskie. — Kładka bez końca. — Cisówka i jodły. —
Odjazd.

Celem drugiej wycieczki był zwierzyniec. Będąc w puszczy, nie można go było pominąć. Pozwolenie otrzymano bez trudności, a jeden z miejscowych strzelców miał służyć za przewodnika i pokazać wszystkie osobliwości zwierzynca, a zwłaszcza żubry.

Zwierzyniec ma prawie $6\frac{1}{2}$ kilometrów na długość i 2 na szerokość. Zajmuje więc obszar przeszło $13\frac{1}{2}$ kilometrów kwadratowych czyli zgorą 1300 hektarów. Przecięty jest ukośnie z południowego zachodu na północny wschód rzeczką Krynicą, wpadającą do Lutowni, lewego dopływu Narwki. Otacza go ze wszystkich stron częstokół, wysoki przeszło na 4 metry.

Minąwszy bramę wjazdową, chłopcy weszli do środka szeroką, pięknie utrzymaną drogą, która ciągnie się w kierunku prostym przez cały zwierzyniec, aż do drugiej bramy, prowadzącej ze zwierzynca ku wsi Budy.

U wjazdu wznosił się okazały żubr, odlany z brązu i postawiony tu na pamiątkę polowania cesarza Aleksandra II.

Zwierzyniec wyglądał ładnie, ale jakże się różnił całym charakterem od samej puszczy, od zakątków, zwiedzanych wczoraj!...

Rosły tu sliczne, stare i grube drzewa, przeważnie liściaste. Imponująco zwłaszcza wyglądały wiekowe dęby o potężnych konarach; tu i ówdzie widać było wysmukłe sosny i poważne świerki. Las był stary niewątpliwie i brać leśna, licząca całe wieki istnienia, rzucała się tu odrazu w oczy. A jednak znać tu już było aż nadto wyraźnie gospodarę człowieka, która usunęła prawie zupełnie pierwotną dzikość i samodzielność natury. Był to raczej prześliczny, olbrzymi stary park, niż pierwotna puszcza.

Chłopcom, spragnionym dzikiej natury, nie podobał się on wcale, a szczególnie Julek krytykował go głośno i zajadłe.

— Co mi to za las — mówił — wszystko uporządkowane, pokrajane i pocięte równo; nigdzie nie widać zwalów, opadłych gałęzi; wszędzie stopy drzewa, równo poukładanego. Brak tylko kupców w chałatach na to drzewo! Trawa taka jakaś równa, jakby zasiana. Brr! Pewien jestem, że i żubry tu tejsze są mniej okazałe od tych, co chodzą po puszczy swobodnie.

— Ma panicz słuszność — odezwał się strzelec: — tamte wyglądają piękniej, mają gładszą i jaśniejszą sierść. Każdemu na wolności lepiej!

— Ale przecież i tu mają one zupełną swobodę?

— Naturalnie, że mają: dwanaście wiorst obszaru¹⁾, to jest gdzie pochodzić. Zawsze to jednak nie to, co cała puszcza.

¹⁾ Strzelec używa tu miar rosyjskich: 12 wiorst kwadratowych odpowiada mniej więcej $13\frac{1}{2}$ kilometrom kwadratowym.

— Ale też i żubrów niema tu chyba dużo?

— Zaledwie kilkanaście, kiedy w całej puszczy będzie ich z tysiąc.

— A kto pilnuje, żeby żubry nie uciekły z puszczy? — zapytał Józio.

— Pocóżby miały uciekać? Naokoło lasów niema: pola, wioski; cóżby tam robiły? Same wołą trzymać się puszczy.

— A jakie tu są jeszcze zwierzęta w zwierzyńcu? — pytali dalej chłopcy.

— Jelenie, daniela, kozy, sarny, dziki.

— A losi niema?

— Tutaj niema, ale są w samej puszczy, w błotnistych częściach. Jest ich nawet sporo, z parę tysięcy.

— A bobry? — zapytał nagle Julek.

Ale strzelec niebardzo nawet wiedział, co to są bobry. Dopiero Janek wytłumaczył, iż niema ich tu oddawna, chociaż niegdyś znajdowały się istotnie w puszczy nad brzegami Narwi. Nie widział ich tu już Jarocki, profesor Uniwersytetu warszawskiego, który polował w lutym r. 1830 na żubry w puszczy Białowieskiej w celu zdobycia okazów dla gabinetu zoologicznego w Warszawie. W opisie swojego polowania i puszczy wspomina on, iż pokazywano mu jedynie opuszczone budowle bobrów nad Narwią, ale samych zwierząt nie było już wcale w puszczy. Dziś próżnobyśmy szukali nawet i ich budowli. Teraz bobry zobaczyć można jedynie w niektórych lasach gubernji Mińskiej.

Zapuszczono się w bardziej dziki zakątek, i strzelec zalecił zachowywać się cicho, żeby nie

sploszyć żubrów. Ale zamiast nich na sąsiedniej polance zobaczono nieduże stadko pasących się jeleni.

— Jakie ładne zwierzęta — szepnął Kazio — tylko, że wyglądają więcej na mieszkańców parku, niż na dzikich puszczaków. Żubr jest godniejszym przedstawicielem Białowieży.

Żubrów jednak nie łatwo było znaleźć, aż Józio zaproponował, żeby wysłać przodem Julka, jako wytrawnego w wyszukiwaniu tych zwierząt.

Obeszło się jednak bez tego; napotkano bowiem wkrótce żubrzycę z małym cielątkiem, które uczyła chodzić, popychając je śmiesznie nosem. Udało się nawet podejść do niej tak niepostrzeżenie, że Józio mógł zrobić zdjęcie tej czulej matki i jej dziecka.

Zwiedziwszy zwierzyńiec, chłopcy skierowali się ku niezbyt oddalonej stąd »Górze Batorego«.

W rzeczywistości był to niewielki pagórek o płaskim szczycie, położony przy szerokiej »królewskiej drodze«, która idzie od Białowieży w kierunku północno-wschodnim ku miasteczku Narwi, leżącemu nad Narwią, już poniżej ujścia Narewki, a więc zupełnie poza obrębem puszczy Białowieskiej.

Pagórek, zwany »Górą Batorego«, nie odznaczał się zresztą niczem szczególnem, nawet drzewa, rosnące na nim, nie były wcale ani bardzo stare, ani okazałe. Całą jego wartość stanowiło przywiązane do niego wspomnienie, iż tu rozbijał obozowisko »mocny król«, to jest Batory, gdy przyjeżdżał na łowy do puszczy, i że od niego otrzymał on nazwę.

— I tu niegdyś bywało rojno i gwarno od rycerzy i myśliwych, — mówił Janek; — nie wznosiły się tu wprawdzie wieże i mury zamków, bieleły się jednak płótna namiotów, gorzały ognie, słyhać było trąby myśliwskie, głosy psów, nawoływania się strzelców; a wieczorem po pomyślnych łowach tysiące prawdziwych i zmyślonych opowiadań o przygodach myśliwskich, trofeach i zdobyczach, opowiadań pełnych swady i rozmachu dawnego, nie tych sporów «o charcim ogonie», które tak gorszyły Wojskiego w «Pannu Tadeuszu», ale pełnych ognia historyj z tych czasów, kiedy to

w języku strzeleckim

Dzik, niedźwiedź, łos, wilk — zwany był zwierzem szlacheckim, nie mające kłów, rogów, pazurów, [checkim]. Zostawiano dla płatnych sług i dworskich ciurów.

A słuchał tych opowiadań nie Giedymin już wprawdzie, ani Jagiełło, mieszkaniec nieistniejącego już «Zameczyska», ale niemniej dzielny od obu myśliwy, który umiał stanąć oko w oko z niedźwiedziem i żubrem, o którym pochwała w «Elogium na śmierć Batorego» głosi, iż «w poskromieniu dzikich zwierząt był więcej niż lew».

Późniejsze to czasy znacznie od tych, które pamięta «Zameczysko», a jednak i po nich nie wiadać tu żadnych śladów. Człowiek dołem zrąbał bór, który niegdyś zwartą masą sięgał aż do stóp pagórka i otaczał go jedną zbitą, zieloną obręczą; a przyroda zasiała drzewa na jego wierzchołku, ongi łysym i nagim. Dlatego drzewa tutaj są tak mało okazałe w w porównaniu do starych patryjarców puszczy. A zamiast dawnych myśliwych...

— Stoi tu czterech cherlawych warszawiaków — wtrącił, śmiejąc się, Kazio — którzy przed żubrem umykają, a niedźwiedzia nie boją się tylko dlatego, że go niema w puszczy; polują zato na niewinne i niegroźne kwiaty.

— Ej! Kazik, Kazik! nie bądź tak złośliwy. A kto to, deklamując «Pana Tadeusza», sam sobie sporządził wieniec dębowy?

— Józiu, fotografuj «Batorego» — komendował Janek — nie żałuj klisz, póki są!

Zdjęto więc i «Batorego».

— A teraz dokąd pójdziemy?

— W tej części puszczy mamy jeszcze bardzo ciekawe uroczysko, jeden z najdzikszych a zarazem najstarszych ostępów, zwany «Nieznanowem». A znajdziemy tam prawdziwe cisy i... moce storczyków.

— A co, nie mówiłem? — żartował dalej Kazio — więc poto będziemy brnąć przez trzęsawiska i przejdziemy «wielki wał pniów, kłód, korzeni», żeby w nim polować na... storczyki.

Cóżby rzekł na to stary Rejtan, gdyby ożył?

Wróciłby do Lachowicz i w grób się położył!

Chodźmy, chodźmy jednak, wy niszczyciele białowieskiej flory!

Dostęp do Nieznanowa okazał się istotnie bardzo trudnym i męczącym. Takich zwałów, tak spiętrzonych jeden na drugim pni nie spotykano jeszcze dotychczas nigdzie. Co chwila ktoś się zapadał, grzązł, osypywał próchnem siebie i innych. Tu trzeba było przelaźać, tam przeskakiwać lub przeciągać jeden drugiego.

Trud jednak opłacić się sownie. Żaden inny kąć puszczy nie dalby chyba tak dobrego pojęcia o nieprzebranych dawnych matecznikach, jak to uroczysko.

Zato cisy, rosnące w Nieznanowie, dość nędznie reprezentowały swych przodków, tworzących ongi u nas piękne lasy. Tutejsze cisy nie były to wcale drzewa, ale marne, niziutkie krzaczki, najwyżej takie, jak jałowiec. I było ich tu przytem zaledwie parę.

Nie zaimponowały więc wcale chłopcom, ale zato znaleziono kilka ciekawych i ładnych storczyków.

Pobyt w puszczy miał się już ku końcowi, czas bowiem Janka, a także fundusze całej gromadki były ograniczone. Pojutrze miano już wyruszyć zpowrotem. Pozostały więc dzień postanowiono zużyć na zwiedzenie jakiegoś zakątka, co najmniej tak dzikiego i ciekawego jak Nieznanowo.

Po naradach wspólnych postanowiono wybrać się do błota Nikorskiego i źródeł Narewki we wschodniej części puszczy. Tam leży uroczysko «Cisówka», jedyne miejsce w puszczy, gdzie rosną jodły.

— Kawalek to drogi, bo prawie dwie mile stąd, ale przecie wyrobiliśmy już nogi na drogach puszczańskich, więc to nas nie przestraszy. Pójdziemy tym razem nie wdół, ale wgórę Narewki, po drodze minieemy Stoczek...

— Czy to ten, gdzie Dwernicki pobił wojska rosyjskie w roku 1831? — wyrwał się Józio.

— Ten sam, ten sam — mówił Kazio: — Geismar umyślnie szedł od Lublina ku Warszawie kręjąc

drogą na Białowieżę, żeby zwięść Polaków. Ale Dwernicki nie dał się złapać i, wsadziwszy swój oddział do pociągu pośpiesznego, wyruszył na Białystok i Bielsk do puszczy i tu pobił Geismara na głowę, poczem tym samym pociągiem odjechał do Warszawy.

Józio pozieleniał z gniewu i mruknął pod nosem: — Licho nadało tyle Stoczków! Można się przecie omylić.

— Nazywa się on istotnie tak samo, jak tamten głośny Stoczek, ale jest zwykłą wioską puszczańską, nie wslawioną niczem.

Wczesnym rankiem wyruszono w drogę i postępowano rączym krokiem, zatrzymując się jedynie na chwilę, gdy jakiś ciekawy okaz zwrócił na siebie uwagę botaników wyprawy.

Stoczek nie odznaczał się istotnie niczem szczególnie ciekawem, był jednakże sporą wioską, jedną z większych, jakie widziano w puszczy.

Droga wraz z odpoczynkiem i popasem zajęła ze cztery godziny tak, że słońce było już wysoko na niebie, kiedy zbliżono się do błota Nikorskiego i wsi Babiniec.

— A gdzież jest ta wioska? — pytał Józio — czy to te kilka nędznych chatek?

— A tak — odparł Janek — nieduża to wieś, jak widzicie. Ciekawa jednak z tego względu, że jesteśmy tu na wschodnim krańcu puszczy, w miejscu, gdzie jest ona prawie największa. Poznajemy więc w tej chwili wschód. Potrzeba nam tylko przewodnika, któryby nas zaprowadził na Cisówkę.

Ale wynalezienie przewodnika nie okazało się

rzeczą tak łatwą: gospodarze wszyscy byli w polu, gospodynie zajęte warzeniem jadła. Wolni byli jedynie kilkuletni chłopcy, ale ci nie wzbudzali zaufania jako przewodnicy, chociaż jeden z nich ofiarowywał się nawet zaprowadzić do ojca, który właśnie był w tej chwili na «Cisówce».

I chłopak wskazał ręką dość odległą kępę za błotem: czernił się na niej nieduży laszek iglasty i zieleniło się pole.

— Cóż tam ojciec robi? — pytał zdumiony Józio.

— Poszli obejrzyć łąkę — odparł chłopak — czy już prędko można będzie kosić. Bo my tam mamy i pole i łąkę — dodał z dumą.

— A jakże stamtąd zwozicie siano i zboże? Czyba jest jakiś most przez to błoto?

— Nie, mostu niema. My tam siano i zboże zostawiamy do zimy i zabieramy je dopiero wtedy, gdy błoto zamarźnie i można jechać saniami.

— A teraz, jak się dostajecie?

— Są tam takie kładki dla pieszych, ale wóz po nich nie przejedzie.

Chłopcy mieli wielką chętkę iść zaraz z młodym przewodnikiem, ale Janek obawiał się powieźć mu swą gromadkę. Postanowiono więc zaczekać na gospodarza i posilić się tymczasem.

Czekanie nie trwało zbyt długo; za dobre pół godziny gospodarz wrócił i podjął się zaprowadzić podróżnych na «Cisówkę» i pokazać im »białe cisy«, ale dopiero po obiedzie.

— Tu już niejedni panowie przychodzili oglądać »białe cisy« — dodał.

Trzeba się było pogodzić z losem i przedumać tę parę godzin, które gospodarz zużył na obiad i odpoczynek południowy. Późem ruszono w drogę. Gospodarz poradził wszystkie tobołki zostawić u niego w chacie i dla każdego z podróżnych sporządził długą żerdkę.

— A to naco? — pytał zdumiony Julek.

— Do podpierania się na kładce.

Praktyczność tych żerdzek okazała się wkrótce w całej pełni. Takiej kładki, jak ta, żaden z chłopców nie widział jeszcze nigdy. Mniejsza o to, że nie miała ona wcale poręczy, bo przecie nie każda kładka je posiada. Ale zato brak poręczy, jak mówił Kazio, wynagradzała ona sownie swą nieskończoną długością i nierównością. Składała się wcale nie z desek, ale z całych drzew, jako tako ociosanych z jednej strony, żeby dać nieco lepsze oparcie dla nóg. Jednakże i na takim ociosanym pniu utrzymanie się w równowadze należało do niezgorszych sztuk akrobatycznych. I gdyby nie żerdka, którą podróżni się podpierali, wtykając ją wprost w błoto, kto wie, ile razy każdy z nich użyłby kąpieli w jego czarnej, grząskiej mazi.

Kładka miała z kilometr długości; nie więc dziwnego, że przeprawa przez nią zdawała się nie mieć końca.

— Zupełnie, jak ułamek okresowy — mówił Julek — co się jeden pień skończy, drugi się zaczyna; i tak wciąż wkołko, bez urozmaicenia i końca.

— Dla urozmaicenia wartoby od czasu do czasu wpadać okresowo w błoto — zażartował Kazio.

Julek rozesmiał się z żartu, ale w tej samej chwili chybnął się na kładce i byłby istotnie wpadł w błoto, gdyby się nie był w porę podparł żerdką.

— Brawo! To się nazywa zgrabność.

Wszystko jednak na świecie ma swój koniec. Więc nareszcie skończyła się i kładka, czyli, jak mówił Julek, udało się zmienić ułamek okresowy na zwyczajny, chociaż z wielkim trudem i mżolem.

Na kępie obejrzano przedewszystkiem pola i łąki gospodarzy z Babińca, uprawiane i sprzątane w tak wyjątkowych warunkach. Gospodarz pokazał chłopcom szopy i stodoły, w których przechowuje się siano i zboże do mrozów.

— To w ten sposób wy i bydło macie przednowek aż do zimy? — pytał Janek.

— A tak, panie, przed zimą trzeba by stąd siano chyba na plecach znosić, a toby było za ciężko.

— Z pola wybrano się do lasu zobaczyć jodły.

Było ich na kępie z kilkaset, ale nie powodziło się im tutaj świetnie: ani grubością, ani wzrostem nie dorównywały one pięknym jodłom lasów górskich, a nawet i nizinnych. Niskie położenie i bagnisty grunt nie sprzyjały im widocznie.

Po obejrzeniu lasu jodłowego udano się zpowrotem na »okresową« kładkę. Przedstawiała ona i tym razem ułamek nieskończony; ale tak samo udało się go zamienić na zwyczajny bez żadnej przygody.

Podziękowawszy gospodarzowi i odpocząwszy nieco, gromadka nasza ostrym krokiem pomaszerowała do Białowieży. A następnego dnia powolny

i ciężko sapiący pociąg uwoził z sobą czterech chłopców, zbiory botaniczne, klisze z widokami i wspomnienie puszczy, które nie tak prędko i nie łatwo się zatrze.

— Gdy staniemy w domu — mówił Janek — uporządkujemy rośliny i zobaczymy, jak się udały fotografie Julkowi. A na przyszłe lato urządzimy znów wspólną wycieczkę do puszczy Białowieżskiej, żeby ją poznać dokładniej i sprawdzić, czy po roku zrobi ona na nas takie samo wrażenie i czy będzie wyglądała tak samo, czy też zajdą w niej jakie zmiany.

— Koniecznie! koniecznie musimy przyjechać!

VIII

DZIEJE PUSZCZY BIAŁOWIEŻSKIEJ W OSTATNICH LATACH

Chłopcy nie pojechali następnego lata do Białowieży: projekty wakacyjne ułożyły się inaczej i każdy spędził lato gdzie indziej. Nie mogli więc stwierdzić, czy zaszły w puszczy jakie zmiany, czy też nie. Prawdopodobnie jednak ani po roku, ani nawet po paru latach nie byłiby ich jeszcze znaleźli.

Ale co innegoby było, gdyby tam zjawili się teraz po tych kilku latach wielkiej wojny, która cały świat przeorała do gruntu i powprowadzała wszędzie tyle głębokich zmian.

Nie ostała się przed nią i puszcza Białowieża: wojna przeszła przez nią parokrotnie; znów jak za czasów napoleońskich słychać w niej było loskot i gwar bojowy, świst kul karabinowych, huk

pekających pocisków, — z tą tylko różnicą, że było tego więcej i że trwało to dłużej, jak wszystko wogóle w tej wielkiej wojnie. To też i zmiany w puszczy zaszyły tak znaczne, że niejedyn, co ją znał przed wojną, zdziwilby się niemało, ujrzawszy ją obecnie, nie znalazłby bowiem w niej wielu rzeczy powszednich dawniej, ale zato zobaczyłby inne, o których tam pierwaj nikomu ani się śniło nawet.

Dlatego też opis puszczy Białowieskiej takiej, jaką oglądali chłopcy na wycieczce, chcemy uzupełnić podaniem zmian, zaszyłych w niej w ciągu wojny.

Przez pierwszy rok zresztą wojna nie dotknęła jej wcale. Ciągnęły wprawdzie przez tę okolice z północnego wschodu wojska rosyjskie, dążące na plac boju nad Wisłę, ale jechały one przeważnie kolejami, a te prowadzą krańcami puszczy z obu jej stron, nie sięgając do środka. Wracały temi samymi drogami pociągi z rannymi lub jeńcami, ale wszystko to dotyczyło puszczy tylko przelotnie i powierzchownie. Jeżeli zaś jaki oddział przeszedł nawet jej środkiem na własnych nogach lub przejechał przez nią na wozach, to i to było tylko chwilowe przejście, mogło wywołać chwilowy zamęt, ale nie pociągało za sobą żadnych istotnych zmian w puszczy.

Zmiany przyniosło dopiero lato roku 1915, kiedy, po rozbiciu Rosjan pod Warszawą w pierwszych dniach sierpnia, Niemcy, posuwając się szybkim marszem za cofającą się armją rosyjską, w ciągu niespełna 3 tygodni dotarli do puszczy Białowieskiej i zajęli ją wkrótce całą. Wtedy to po stu la-

tach przeszło «zdziwiony żubr» spoglądał znów na «zblakane granaty» i uciekał, gdy «pekały z hukiem».

Walki tym razem nie trwały zbyt długo, ani nie były bardzo uporczywe: przez Białowieżę cokozaćkie, które broniły puszczy przeważnie tylko dla formy i powierzchownie tak, że Niemcy przeszli przez nią bardzo szybko i wojna prędko przeniosła się dalej na wschód. Ale wtedy właśnie zaczęło się niszczenie puszczy, ściśle związane z wojną i będące bezpośrednim jej skutkiem, choć miało charakter pozornie pokojowy.

Zacząło się mianowicie wycinanie lasu przez Niemców.

Za czasów polskich puszcza była chroniona jako miejsce pobytu zwierzyny królewskiej, i nie wolno jej było wyrąbywać, ani wogóle wyniszczać. Nie znaczy to, aby nie było tam wówczas żadnego przemysłu leśnego. Polegał on jednak głównie na usuwaniu drzew uschniętych, które zużytkowywano przeważnie na miejscu na wyrób potażu, smoły i terpentyny. Poza tem puszcza dostarczała budulca wsioł okolicznym oraz pięknych, smukłych sosen masztowych, które wywożono daleko w świat. Ale tę eksploatację¹⁾ prowadzono na tak małą skalę, że nie dawała się ona prawie wcale odczuwać i nie zmieniała w niczem pierwotnego charakteru puszczy.

Po przejściu puszczy na własność rządu ro-

¹⁾ Eksploatacja — ciągnięcie zysków z czego.

syjskiego stosunki nie uległy pod tym względem żadnej zmianie, a nawet od czasu ukazania Aleksandra I z r. 1820, uznającego puszcę za teren nietykalny na wieczne czasy, ochrona stała się jeszcze silniejsza, a gospodarka leśna ograniczała się jedynie do usuwania drzew uschłych lub wyrwanych przez burzę.

Stan taki trwał jeszcze jakiś czas po włączeniu Białowieży w r. 1889 do prywatnych dóbr carskich. Zaczęło się jednak wkrótce potem planowe wyrąbywanie i eksploatawanie puszczy, na co zwróciły nawet uwagę pisma rosyjskie, wyrażając przytem obawę, że w ten sposób może zniknąć ten wspaniały, dziki zabytek pierwotnych lasów.

Ale że carom rosyjskim chodziło istotnie o zachowanie tego terenu »królewskich łowów« na żubry, więc eksploatacja Białowieży nie odbywała się forsownie, poręby były obliczone na długi okres czasu (180-letni), a wyrąbane miejsca zalesiano natychmiast. Tak że puszcza, pomimo prawidłowych wyrębów, szos, pociągów i automobilów, mogła jeszcze zachowywać swój pierwotny charakter.

Dopiero Niemcy, zawładnąwszy nią w lecie 1915 r., wprowadzili radykalną zmianę w dotychczasowe stosunki.

Przybyli tu najwidoczniej z gotowym planem a uznawszy puszcę za łup wojenny wielkiej wartości, znieśli dotychczasową jej nietykalność i postanowili wyciągnąć z niej dla siebie korzyści, ile się tylko da. Zorganizowali wprawdzie ekspedycję¹⁾

¹⁾ Ekspedycja — wyprawa.

naukową, która, osiadłszy w puszczy, zajęła się naukowem jej zbadaniem oraz opisem jej stanu i bogactw przyrodzonych; ale jednocześnie wyprawili i drugą przemysłową dla eksploatacji puszczy, postawiwszy na jej czele Eschericha, profesora leśnictwa w Monachjum, jednego z najlepszych uczonych leśników w Niemczech. I zaraz przystąpili do gorączkowej i forsownej eksploatacji, prowadzonej nadzwyczaj umiejętnie i planowo.

Nie szczędzili olbrzymich wkładów, stosowali najnowsze ulepszenia techniczne, byle tylko móc jak najwięcej wyciągnąć korzyści z puszczy. W ciągu niespełna 3¹/₂ lat gospodarki w Białowieży (od sierpnia 1915 r. do grudnia 1918) pocięli puszcę kolejkami (200 kilometrów), docierającymi do najdalszych ostępów, o ile tylko znajdowały się w nich stare, cenne drzewa; wystawili 5 olbrzymich tartaków oraz połączonych z nimi innych pomniejszych fabryk a także olbrzymią fabrykę spirytusu drzewnego w Hajnówce, największą w Europie. Obok tych fabryk wystawili całe kompleksy budynków mieszkalnych dla zatrudnionych w nich robotników i połączyli to wszystko siecią telefonów, zamieniając spokojną puszcę w jedną wielką fabrykę, pracującą w gorączkowem tempie. W zakładach tych zajętych było 700 stałych robotników, gromada jeńców wojennych oraz mniejsze lub większe partje robotników, dobieranych dorywczo w miarę potrzeby.

Pracowano gorączkowo a sprawnie: w lesie wyrąbywano najpiękniejsze drzewa, które kolejki zwoziły zaraz do tartaków, te krajały je na deski, a inne zakłady przerabiała dostarczony sobie ma-

terjal drzewny to na ściany do składanych domków drewnianych, to na welnę drzewną, to na spirytus, potaż, smołę, to na trepki i t. d. Nie mówiąc o tem, że najpiękniejsze kłocę dębowe, jesionowe, sosnowe, lipowe i inne wywożono w całości do Niemiec.

Najlepsze pojęcie o tej rabunkowej gospodarce mogą dać liczby, wskazujące ilość przerobionego i wywiezionego drzewa: otóż w ciągu tych niespełna 3½ lat wynosi ona przeszło 1 milion metrów sześciennych czyli 250.000 tak zwanych sągów leśnych; a oprócz tego pozostało jeszcze około pół miliona metrów sześciennych materiału drzewnego, pięknie obrobionego i przygotowanego do wywieżenia, którego już Niemcy nie zdążyli wywieźć. Ile to drzew najokazalszych musiało paść pod siekierą niemiecką, żeby dać ten cały olbrzymi materiał! A trzeba dodać, że właśnie bardzo starannie dobierali oni na wyrąb najładniejsze okazy, wyszukując je nawet w najdalszych i najdzikszych ostępach.

Pracowali nad wyrąbywaniem puszczy gorączkowo, jakby czuli, że niedługo będą w niej panować, i dlatego chcieli z niej jak najwięcej wyciągnąć korzyści, póki się dało.

Opuścili zaś puszcę równie nagle, jak nagle się w niej zjawili.

Po klęsce wojennej w jesieni 1918 r. nastąpił rozkład w armji niemieckiej, tak karnej dotychczas, potworzyły się bolszewickie rady żołnierskie, masowe wycofywanie się oficerów z frontu i z etapów. Ruch ten na początku zimy z r. 1918 na 1919 objął

i oddziały, eksploatujące puszcę Białowieską. Po usunięciu się profesora Eschericha i całego jego sztabu, po objęciu rządów przez rady żołnierskie, praca w zakładach białowieskich stanęła odrazu i nagle, jakby na skinienie różdżki czarodziejkiej. Dr. Władysław Szafer, profesor botaniki w Uniwersytecie Jagiellońskim i członek rządowej ekspedycji dla zbadania stanu puszczy Białowieskiej w r. 1919, po objęciu jej przez rząd polski, tak opisuje w swoich «Wrażeniach z wycieczek do puszczy Białowieskiej w r. 1919 i 1920»¹⁾ to nagle zatrzymanie się wszelkiej pracy:

«Praca w zakładach stanęła odrazu. Piły trących kłocę w tartaku, zatrzymały się dosłownie w połowie pnia; w zębach kunsztownej maszyny, targającej miąższ drewna na welnę drzewną, pozostały niewydobyte strzepy welny drzewnej; w warsztatach drewnianego obuwia zostawiono w tokarniach tkwiące trepki; a przy montowanych maszynach nowej fabryki smoły zostawione porozrzucone narzędzia monterskie...»

A co gorsza, nietylko praca stanęła, ale zaczęło się jednocześnie niszczenie wszystkiego przez rządzące teraz puszcą rady żołnierskie. Żołnierze handlowali kosztownymi urządzeniami fabrycznymi, sprzedając je za bezcen Żydom z Białegostoku albo wymieniając je na prowjanty; oddawali np. motory elektryczne, przedstawiające wartość tysięcy

¹⁾ Materiał o działalności Niemców w puszczy Białowieskiej, podany w tym rozdziale i w następnym, wzięty jest w znacznej części z tej pracy prof. Szafera.

marek niemieckich ¹⁾, za kilka lub kilkanaście kilogramów słoniny.

Całe szczęście, że te rządy żołnierskie nie trwały zbyt długo, zaledwie parę miesięcy, gdyż już w połowie lutego 1919 r. wojska polskie objęły w posiadanie puszcę, kładąc kres tej niszczyielskiej robocie band żołnierskich i ratując kosztowne urządzenia fabryczne od ostatecznej zagłady.

Najwięcej stosunkowo ucierpiała wspaniała i olbrzymia fabryka spirytusu drzewnego, którą Niemcy budowali przez 2 lata (1916 i 1917), uposażyli we wszystkie najnowsze urządzenia i puścili w ruch zaledwie na początku r. 1918. Niedługo więc z niej korzystali.

Uszkodzenia jednak w fabrykach nie sięgały zbyt głęboko, nie zniszczyły ich do gruntu, za krótko bowiem trwały te rządy, a raczej ten bezrząd żołnierski. To też udało się je wszystkie ponaprawiać w niezbyt długim czasie i puścić w ruch na nowo.

I puszcza Białowieska wytrzymała również wcale pomyślnie gwałtowną, rabunkową gospodarkę Niemców przez 3 lata. Niewiadomo, jakby wyglądała, gdyby ta gospodarka trwała dłużej. Ale w ciągu tych paru lat zniszczenie nie sięgnęło tak głęboko, jak się obawiano w pierwszej chwili. Obliczono mianowicie, że cały ubytek drzewa, wyrąbanego przez Niemców, odpowiada powierzchni 6.400 hektarów, co stanowi tylko 4% całej puszczy. Jest to bądź co bądź strata poważna i ciężka, ale nie jest

¹⁾ Marka niemiecka miała jeszcze wówczas przedwojenną wartość, odpowiadającą mniej więcej frankowi szwajcarskiemu.

to jeszcze zniszczenie całej puszczy; można tedy powiedzieć, iż wyszła ona z rąk niemieckich w stanie wcale dobrym, nie zmieniając nawet charakteru, bo i przeważna większość dawnych ostępów zachowała swój pierwotny wygląd, chociaż Niemcy docierali do nich z siekierą i wyrąbali niejednego staro olbrzyma.

Po ustąpieniu Niemców, puszcza niedługo cieszyła się spokojem, bo już w lipcu 1920 r. zjawily się w niej bolszewickie wojska rosyjskie, ciągnące szeroką lawą na Warszawę. Ci najeźdźcy jednak nie mieli ani czasu, ani możliwości urządzenia rabunkowej gospodarki w puszczy. Przeciagnęli jeszcze raz przez nią we wrześniu tegoż roku, ale już w kierunku odwrotnym, cofając się ku Rosji, samej puszczy jednak nie lknęli, ograniczając się do rozgromienia folwarków i dworów.

I znów w puszczy zapanował spokój.

IX

HISTORJA ŻUBRÓW W CZASIE WIELKIEJ WOJNY

Puszcza Białowieska, pomimo znacznych strat i dużego zniszczenia przez Niemców, wyszła ostatecznie obronną ręką z wielkiej wojny. Niestety, nie można powiedzieć tego samego o żubrach: na ich losach wielka wojna odbiła się fatalnie. Po długotrwałym okresie spokojnego życia pod staranną opieką za czasów polskich a później rosyjskich, spadły na nie klęski wojenne i prześladowania

w tak silnym stopniu, że przetrzymanie ich stało się wręcz niemożliwe.

Po ukazie cara Aleksandra I z r. 1802, chroniącym żubra raz na zawsze; po zabronieniu w r. 1821 wszelkich polowań w puszczy oprócz carskich; po wytępieniu wilków i innych większych drapieżników, żubry nie miały wcale wrogów w puszczy; a za zabicie żubra prawo groziło tak surowymi karami, że bardzo rzadko znajdował się śmialek, któryby się mógł odważyć na czyn tak zuchwały. W dodatku ułatwiano im życie wszelkimi możliwymi sposobami: osuszano bagna, żeby na łąkach mogła wyrastać lepsza i obfitsza trawa; przygotowywano na zimę stogi z sianem, żeby zwierzęła nie cierpiały głodu w czasie tej surowej pory roku i l. p.

Słowem, dobrze się powodziło żubrom, zwłaszcza przez ostatnie ćwierć wieku XIX, bo to, że co pewien czas odbywały się carskie polowania, na których padało 30, 40 a co najwyżej 50 żubrów, nie odbijało się ujemnie na ich stanie, wobec tylu innych udogodnień i ułatwień życia, jakimi je otaczano. To też liczba ich z pewnymi wahaniami utrzymywała się na poziomie kilkuset sztuk, przeważnie 400—500.

Czasami zaczynała się nawet powiększać nadmiernie, co zresztą dotyczyło wogóle całej zwierzyny większej, otoczonej w puszczy zbyt staranną opieką. Ale wówczas sama przyroda kładła kres nadmiernemu rozmnażaniu się. Tak się stało mianowicie na parę lat przed wielką wojną.

Wskutek za bardzo troskliwej a niezupełnie

racjonalnej opieki, braku wrogów naturalnych i zbyt dobrych warunków istnienia, liczba żubrów i wogóle grubszej zwierzyny (łośów, jeleni, sarn, dzików) już w końcu zeszłego wieku zaczęła się nadmiernie powiększać tak, że w r. 1901 było w puszczy 15.000 sztuk grubej zwierzyny, to jest około tuzina na 100 hektarów. Do r. 1910 liczba ta podwoiła się i dosięgła 30.000. Puszcza z pierwotnego dzikiego lasu, w którym obecność zwierząt drapieżnych nie pozwalała rozmnażać się nadmiernie trawożernym przeistaczała się stopniowo w zwierzyniec, w którym ochraniaanej zwierzynie zaczynało już być za ciasno.

A że wszelkie nadmierne stłoczenie się jakichkolwiek stworzeń na pewnej przestrzeni pociąga za sobą pogorszenie się warunków istnienia i grozi wybuchem różnych epidemij, więc i nad zwierzyną w puszczy wogóle, a nad żubrami w szczególności zawisło wkrótce to niebezpieczeństwo. Zwracano na to uwagę parokrotnie zarządowi puszczy, jak np. w r. 1908 weterynarz K. Wróblewski, członek ekspedycji z ramienia petersburskiej Akademji Nauk, który przepowiadał wybuch zarazy wśród zwierzyny w puszczy. Sporadyczne jej wypadki zdarzały się nawet już i wówczas.

Zanim jednak pomyślano o środkach zapobiegawczych, wybuchła na wiosnę r. 1910 epidemja karbunkulu (zarazy syberyjskiej), której ofiarą padło tylko w ciągu wiosny i lata tego roku przeszło 1000 sztuk zwierzyny. Szczególnie silnie dotknęła ona żubry. Specjalna komisja, złożona z weterynarzy pod przewodnictwem profesora Ekerta z Pe-

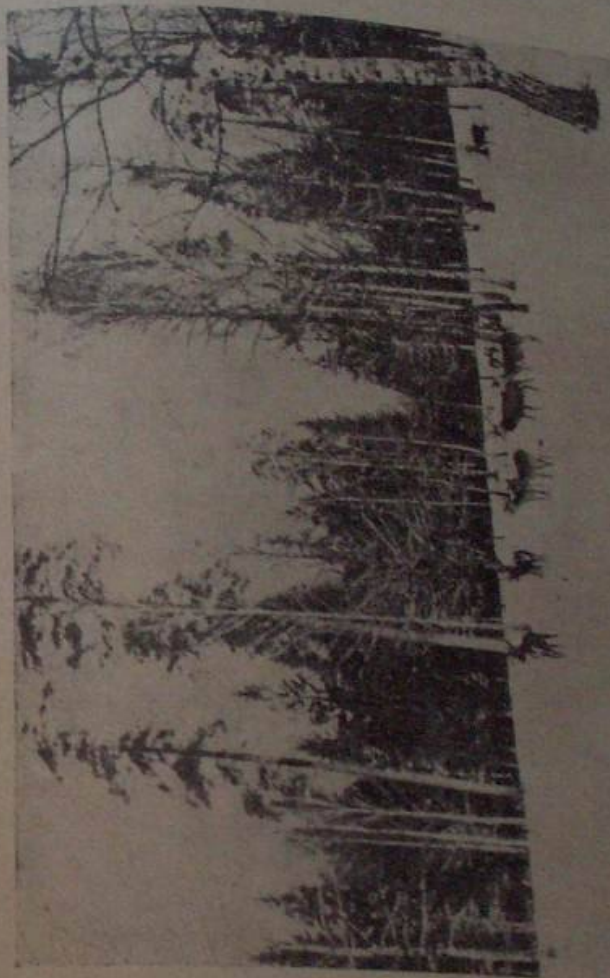
tersburga, badała tę sprawę na miejscu i orzekła, że przyczyną wybuchu tak silnej zarazy wśród żubrów był przede wszystkim brak naturalnej leśnej paszy, wywołany nadmiernym rozmnożeniem się jeleni.

Ciężką klęską dla żubrów była zaraza r. 1910, ale już sama w sobie zawierała ona pewien środek leczniczy, przez zmniejszanie się bowiem liczby zwierzyny poprawiały się warunki dla reszty, która skuteczniej mogła opierać się chorobie. A przytem i zarząd puszczy starał się przeciwdziałać rozszereżaniu się epidemji. To też udało się ją wkrótce opanować, liczba zwierzyny zaczęła się znów powiększać i na początku r. 1914 liczono jej znów około 16.000 sztuk, w tem około 500 żubrów.

Ale w tym roku rozpoczęła się wielka wojna a klęski, zadane przez nią żubrom, przewyższyły stokrotnie najsilniejszą epidemję i przeszły najczarniejsze możliwości, jakie sobie można było wyobrazić.

Zresztą dla żubrów, tak samo jak i dla całej puszczy, pierwszy rok wojny przeszedł zupełnie spokojnie. Zmianę przyniosło dopiero lato 1915 r., a przyniosło ją pierwiej jeszcze, zanim zjawiała się w puszczy armja niemiecka i zanim zaczęła tam być czynna siekiera niemiecka.

Już żołnierze cofającej się armji rosyjskiej pozwolili sobie na nielegalne polowanie na żubry i pod ich strzałami padła pewna liczba tych stworzeń. Ale, z jednej strony, pobyt ich w puszczy nie był długotrwały, bo odwrót odbywał się szybko, a z drugiej — straż leśna rosyjska, nie zdeorganizowa-



POLANA W PUSZCZY (Fotografia)

wana jeszcze, stawała w obronie żubrów i hamowała zapędy dorywczych myśliwych. Poniosły więc żubry pewne straty, ale niezbyt duże.

Niemcy, zajmąwszy Białowieżę w posiadanie, zastosowali względem żubrów, przynajmniej w zasadzie, wręcz przeciwny sposób postępowania, niż względem samej puszczy. Puszcze od razu zaczęli eksploatować i trzebić, materiał drzewny zaczęli biał lub wywozić do Niemiec, żubry zaś wzięli pod opiekę i przysłali zaraz naukową ekspedycję, która zajęła się badaniem ich na swobodzie, w ich ojczyźnie; robiono kolekcje ze skór i kości żubrów, ale nie wolno było ich zabijać do tego celu, wyszukiwało się jedynie w ostępach padłe okazy i te się preparowało. Wogóle na żubry nie wolno było polować inaczej, jak za specjalnem pozwoleniem generała Seekendorffa, komendanta puszczy.

Pozwoleń tych jednakże udzielał on od czasu do czasu rozmaitym dygnitarzom, którzy, korzystając z przywileju zdobywców, chcieli skosztować zabronionych królewskich łowów. A i niejedni żołnierz-klusownik, nie pytając się władzy, pozwalał sobie cichaczem na tę samą rozrywkę. Stosunki wojenne były inne niż pokojowe, i puszczy nie można już było upilnować tak dobrze, jak w zwykłych dawniejszych warunkach. Liczba żubrów malała więc, ale niezbyt szybko, gdyż bądź co bądź miały one jeszcze pewną opiekę i były pod ochroną prawa. Możeby też były wyszły obronną ręką, chociaż silnie przetrzebione, gdyby nie przewrót w mie z r. 1918 na 1919.

Zastał on jeszcze przy życiu 180 żubrów; tyle zanotowały władze niemieckie, opuszczając Białowieżę w początku r. 1919 i pozostawiając w niej rządy radom żołnierskim i włościańskim. Te zaś uchwalily, że należy pozwolić wszystkim bez wyjątku polować na zwierzynę w puszczy, żeby zaspokoić głód, który wskutek przejść wojennych zaczął panować po wsiach okolicznych.

Ale prowadzone to było w taki sposób, że głodu wcale nie zaspokoilo, a tylko przyczynilo się do wytępienia zwierzyny bez żadnej właściwie korzyści dla żołnierzy i włościan. Padły zwłaszcza ofiarą tych polowań żubry, które, będąc przyzwyczajone, że ludzie nie robili im nigdy żadnej krzywdy, nie umiały ani uciekać, ani kryć się w niedostępnych ostępach i ginęły jeden po drugim.

A polował na nie każdy, kto chciał i kiedy chciał. W puszczy strzelano tak bezustannie od rana do nocy i w sposób tak dziki i bezplanowy, że wprost niebezpiecznie było wejść do lasu o jakiej bądź porze, bo groziło zawsze spotkanie z jakąś blakającą się kulą. A hałas był do pewnego stopnia gorszy, niż w czasie wojny właściwej i bitew.

Przytem włościanie okoliczni, chociaż pozwalali sobie na strzelanie do żubrów, nie mogli jednak zupełnie pozbyć się strachu przed odpowiedzialnością, którą im tyle lat groziło za to prawo. Ciagle im się zdawało, że wrócą carskie władze i będą karały surowo za te samowolne polowania. Wycinali więc prędko najlepsze kawalki mięsa na strawę, a resztę wraz ze skórą i kośćmi zakopywali w ziemi, chcąc w ten sposób ukryć ślady swojego występku.

Skóry zakopane w ziemi gniły i marnowały się bez żadnej korzyści, jak również i znaczna część mięsa.

Wojsko polskie, które wkroczyło w lutym 1919 r., niewiele mogło pomóc żubrom: będąc zajęte walką z bolszewikami i nie rozporządzając zbyt licznymi siłami, nie mogło przeszkodzić kłusownikom w wybijaniu żubrów, które też ginęły w dalszym ciągu. A jeśli który z nich zdołał przemknąć się z puszczy do sąsiednich lasów, to i tam spotykał się z kulą i ginął tak samo.

Rząd nasz, zaniepokojony krążącymi pogłoskami o strasznem zniszczeniu puszczy, o wyginięciu żubrów, wysłał w kwietniu 1919 r. ekspedycję, o której wspominaliśmy już w poprzednim rozdziale. Pogłoski o zniszczeniu puszczy okazały się, na szczęście, przesadzone; ale o wytępieniu żubrów, niestety, sprawdziły się najzupełniej: tułało się jeszcze wówczas po puszczy 3 lub 4 z tych królewskich zwierząt, ale i te zginęły wkrótce.

Większego spustoszenia wśród żubrów nie mogła już wojna wyrządzić: ten wspaniały zwierz, imponujący zabytek dawnej przyrody, ochraniały przez tyle lat, przestał istnieć w puszczy, choć sama puszcza wyszła obronną ręką z nawały wojennej.

X

OBECNY STAN PUSZCZY BIAŁOWIESKIEJ, JEJ ROLA
I ZNACZENIE W PRZYSZŁOŚCI.

Wrócił już spokój do puszczy Białowieskiej; skończyła się rabunkowa gospodarka niemiecka; ustala strzelanina nieustanna i kłusownictwo; zwierzyna niepłoszona znów żeruje spokojnie i liczba jej się powiększa; przestaje ona już być taką rzadkością, jak na wiosnę r. 1919, kiedy profesor Szafer w czasie trzydniowej włóczki po puszczy widział tylko 3 jelenie, jednego zająca i parę żórawi.

Słowem, puszcza odzyskuje stopniowo swój przedwojenny charakter. Nie nastąpiło to jednak odrazu: niektóre skutki wojny dawały się puszczy we znaki nawet po jej końcu.

Między innymi gwałtowna rabunkowa gospodarka niemiecka, przerwana tak nagle, zostawiła po sobie pewne następstwa, które niszczyły puszcę w dalszym ciągu, choć Niemców w niej już nie było. Mianowicie pozostawili oni po sobie w puszczy mnóstwo nieusuniętych odpadków drzewnych, w których rozmnożyły się korniki.

Są to małe, krępe chrząszczyki, które wgryzają się pod korę drzew iglastych, drażą w niej kanaliki i w kanalikach tych składają jajka, a wyłgłe z nich czerwie karmią się drewnem, drażą w nich nowe kanaliki i niszczą w ten sposób drzewa.

Owady te napadają wprawdzie głównie na drzewa schorzone i nadpsute, ale, gdy się rozmnożą

nadmiernie, przenoszą się wówczas i na zdrowe, sprawiając w nich takie uszkodzenia, że drzewa usychają i giną.

To właśnie stało się w puszczy Białowieskiej. Rozmnożywszy się bardzo licznie w odpadkach pni świerkowych, korniki przeniosły się na żywe świerki i zrzuciły w nich takie spustoszenie, że zachodziła obawa uschnięcia wszystkich świerków w puszczy.

Na szczęście jednak udało się temu zapobiec. Rząd nasz przedsięwziął energiczne kroki i, nie szczędząc kosztów, wysłał do Białowieży naukową wyprawę pod wodzą znanego entomologa (badacza owadów) doktora Mokrzeckiego dla walki z tym szkodnikiem. Dzięki usiłowaniom i pracy dra Mokrzeckiego udało się wytępić korniki i ocalić od zniszczenia resztę świerków.

To więc następstwo wojny zostało zażegnane. Gorzej przedstawia się sprawa z żubrami, wojna bowiem bardziej zaciężyła na ich stanie i dziś wytępienie ich w puszczy jest, niestety, faktem dokonanym. Najdłużej przetrwało jakieś jedno-rodzajne ciele żubrze, które jeszcze na wiosnę r. 1919 bląkało się w straży Hajnowskiej, ale i ono ostatecznie przepadło bez śladu. W roku 1921 odkryto w puszczy parę, jak się zdawało, barłogów żubrzych, ale najstaranniejsze poszukiwania nie doprowadziły do znalezienia samych zwierząt. Prawdopodobnie więc, były to barłogi nie żubrów, ale krów zdziczałych, bo i takie bląkały się po puszczy w tym czasie.

Żubry, ochraniane przez tyle lat w puszczy

Białowieskiej, wyginęły doszczętnie: na to niema już żadnej rady, i z tem trzeba się pogodzić. Niemniej jednak trzeba się zastanowić nad tem, czy żubrów nigdzie już niema na świecie, a, jeśli gdzie są, czy nie dałoby się sprowadzić ich stamtąd do Białowieży, znów je tam osiedlić i rozmnożyć.

Było przed wojną parę żubrów w zwierzyńcu w Pilawinie Józefa hrabiego Potockiego, przesiedlonych tam z Białowieży, jest jednak rzeczą wręcz niemożliwą, aby przetrwały one zawieruchę wojenną, gdy sam park Pilawński uległ bardzo silnemu zniszczeniu. A zresztą lasy Piszczowskie, w obrębie których leży park Pilawński, znajdują się już na terytorjum bolszewickiem (50 kilometrów na północny wschód od Sławuty), tem bardziej więc trudno przypuścić, aby tam żubry mogły się przechować.

Przed wojną drugim miejscem, gdzie znajdowały się nieco liczniej żubry, oprócz Białowieży, był Kaukaz, mianowicie lasy na zachód od góry Elbrus. Otoczone one były tam tak samo ochroną prawa, ale było ich tam znacznie mniej, niż w Białowieży. Trudno wiedzieć, czy spotkał je tam taki sam los jak w naszej puszczy, czy też przetrwały one pomyślnie wojnę i te wszystkie przewroty, przez które przeszło i przechodzi jeszcze państwo rosyjskie. Wydaje się to jednak rzeczą więcej niż wątpliwą.

Było też trochę żubrów w stepowym rezerwacie jednego z magnatów rosyjskich w miejscowości Nowa Askanja (w gub. Chersonskiej). Na skutek osobistych stosunków z carem dostał on był

swojego czasu kilka żubrów z Białowieży i chował je pomyślnie w tym swoim rezerwacie. Podobno są one tam jeszcze i teraz, trudno jednak twierdzić z całą pewnością, czy ta wiadomość istotnie jest prawdziwa.

Zato napewno są jeszcze żubry w dwu innych miejscowościach, z których jedna znajduje się na obszarze naszego państwa.

Hodują się one jeszcze, chociaż niebardzo licznie, w ogromnych lasach księstwa pszczyńskiego, położonego w przyłączonej do nas części Śląska Górnego, częściowo w powiecie pszczyńskim, częściowo w katowickim. Same lasy, należące do tego księstwa, zajmują około 100.000 morgów obszaru. Jest to wprawdzie zaledwie połowa tego, co mamy w Białowieży, ale w każdym razie jest to obszar imponujący. Niema tam jednak żubrów, prowadzących życie napół dzikie, jak to było w puszczy Białowieskiej; te bowiem, które zamieszkują lasy pszczyńskie, przebywają w pięknie urządzonym zwierzyńcu, zajmującym około 20.000 morgów.

Pochodzą one zresztą również z Białowieży, od 4 żubrów, darowanych w r. 1864 przez cara Aleksandra II Janowi Henrykowi XI, ówczesnemu księciu na Pszczynie, wielkiemu łowczemu króla pruskiego i szefowi urzędu polowań dworskich.

W r. 1893 przybyło tam jeszcze 5 sztuk, wymienionych przez cara Aleksandra III za jelenie.

W Pszczynie żubry zaaklimatyzowały się dobrze i doskonale się rozmnażały tak, że w r. 1914 liczono ich tam do 100 sztuk. Ale w ciągu wojny z powodu braku paszy, a także z powodu braku

mięsa dla ludności, wybito znaczną ich część i końca wojny doczekało zaledwie 30 żubrów. A i tym potrafiliby dać radę kłusownicy i osławiony «Grenzschtütz»¹⁾ w czasie pełnego zamieszek okresu plebiscytowego na Górnym Śląsku.

Ocalało tylko 5 żubrów, a więc w każdym razie pomysłniej im poszło niż w Białowieży, i one dzisiaj są jedynymi przedstawicielami na ziemiach polskich tych dawnych mieszkańców puszczy.

Drugim i ostatnim miejscem, gdzie znajdują się żubry, są Węgry. W lasach tamiecznych przechowały się jeszcze z czasów dawniejszych nieliczne resztki żubrów tak szczęśliwie, że obecnie jest ich tam ze 20 sztuk.

Jeżeli więc uda się utrzymać przy życiu i rozmnożyć żubry pszczyńskie i węgierskie, to może tem samem uda się przechować na dłużej ten wspałały zabytek dawnej przyrody.

Widoki na to są w każdym razie nie najgorsze, powstaje bowiem obecnie w Europie międzynarodowa Liga ochrony żubra, do której przystępuje i Polska. W programie tej ligi jest projekt ściągnięcia wszystkich istniejących żubrów do Polski, a mianowicie do Białowieży, jako przedstawiającej najlepsze warunki dla tych zwierząt.

Może więc znów zjawią się tam żubry. Nie wróciłyby już wprawdzie dla nich te dawne świetne czasy, kiedy pasły się one na łąkach puszczańskich w liczbie kilkuset okazów, ale bądź co bądź

¹⁾ Grenzschtütz — obrona granic, nazwa związku niemieckiego na Górnym Śląsku, występującego wrogo względem Polaków.

mogłyby tam istnieć i nadal, chociaż w szczerplejszej liczbie. W ten sposób dałoby się przechować dokładniej pierwotny charakter puszczy Białowieżskiej i naprawić bodaj częściowo szkody, zrządzone przez wojnę a zwłaszcza przez jej następstwa. Nie byłaby to już zresztą zwierzyna, ochraniać poto, aby mogli na nią polować monarchowie, ale ciekawość i cenny zabytek przyrody, stanowiący własność całego narodu tak jak i sama puszcza i dlatego właśnie poddany troskliwej ochronie i opiece.

Wogóle charakter całej puszczy z powodu zmian zaszłych na świecie, nie może już pozostać taki sam, jaki był przed wojną. Nie może ona już być tylko rodzajem zwierzynca, miejscem pobytu rzadkich zwierząt i terenem łowów monarszych, lecz musi być wciągnięta w obręb gospodarki państwowej; bogactwa jej muszą być poddane eksploatacji, jednakże nie rabunkowej jak za okupacji niemieckiej, lecz prawidłowej, nie ubożącej puszczy, ale korzystającej umiarkowanie i mądrze z jej bogactw. Państwo polskie będzie rządzić się w puszczy nie jak chwilowy okupant¹⁾, starający się jak najwięcej zrabować i wywieźć stamtąd, ale jak prawowity gospodarz, który sam chce i musi ciągnąć z niej korzyści, pamięta jednakże o tem, że powinien zostawić ją dzieciom w stanie nieuszkodzonym, tak, aby z puszczy w dalszym ciągu i w najmniejszym stopniu mogli korzystać jego wnukowie i prawnukowie.

Leśne bogactwa puszczy są olbrzymie, ale, na-

¹⁾ Wróg, który zajmuje zdobytą krainę.

turalnie, nie niewyczerpalne. Gospodarka więc tutaj musi być prowadzona prawidłowo i mądrze.

Puszcza Białowieska posiada ogromne zasoby materiału drzewnego. Obliczono, że po ustąpieniu Niemców pozostało w niej przeszło 34 miliony metrów sześciennych czyli 8 milionów sągów leśnych drzewa, nadającego się do wyrąbania dla celów przemysłowych oraz na opał, w tem przeszło 7 milionów metrów cennego, grubszego materiału.

Niemcy w ciągu zaledwie trzyletniej gospodarki wyrąbali przeszło półtora miliona metrów sześciennych, to jest nieco więcej niż 4% materiału zdatnego do użytku. Gdyby się rąbało dalej w tym stosunku, wyrąbałoby się cały istniejący dziś materiał w jakie 75 lat. Jest zaś rzeczą wręcz niemożliwą, aby naturalny roczny przyrost materiału drzewnego pokrywał w dostatecznej mierze tak znaczne zużycie. Słusznie więc możnaby się było obawiać, że w tych warunkach nastąpiłoby stopniowe zmniejszanie się jego ilości i stopniowe zniszczenie całej puszczy.

To też należy tę rzecz prowadzić oględnie tak, żeby i przemysłowi dostarczać materiału i puszczy nie wyniszczyć.

Mamy dziś w puszczy kilka tartaków, największą w Europie fabrykę suchej destylacji drzewa w Hajnówce, wyrabiającą spirytus drzewny, smołę i węgiel drzewny, oraz fabrykę terpentyny, która przerabia wykarczowane pniaki drzew iglastych i w ten sposób zużytkowuje materiał, nieprzydatny do innych celów.

Wszystkie te zakłady przemysłowe potrzebują materiału drzewnego i jeśli się będzie dostarczać go im umiejętnie, nie rabunkowo, to przez długie lata można będzie ciągnąć korzyści z puszczy, nie wyniszczając jej. Jeśli się jednak zaczęło wyrąbywać ją nadmiernie, znikłaby ona prędko i następne pokolenia nie mogłyby już mieć z niej żadnych zysków.

A przytem nie należy zapominać i o tem, że dostarczanie materiału drzewnego do celów przemysłowych to dopiero jedna strona znaczenia Białowiesy. Ma ona i drugą nie mniej ważną; posiada wartość natury nietylko materialnej, ale i moralnej; jest nietylko zbiornikiem i dostarczycielką cennego materiału drzewnego, ale jednocześnie i stokroć cenniejszym, bo jedynym w swoim rodzaju zabytkiem przyrody pierwotnej, naturalną ostoją dla fauny i flory, zanikłej już gdzie indziej. To też należy ją nietylko eksploatować, ale i ochraniać, postarać się bodaj część jej jakąś zachować w stanie pierwotnej dzikiej natury.

Jeżeli praktyczni i przemysłowi Amerykanie wzięli pod ochronę olbrzymi Park Narodowy w Yellowstone, wobec którego puszcza Białowieska jest niedużym lasem; jeżeli mogli zabronić jakiej bądź eksploatacji przemysłowej tego terenu, tak bardzo właśnie obfitującego w bogactwa naturalne; jeżeli wytrwale i konsekwentnie zachowują tę uchwałę już od lat 50, dając tem samem dowód, że jednakże uważają za właściwe i potrzebne dobra natury materialnej poświęcić dla celów idealnych; to tem bardziej my nie powinniśmy się okazać gorszymi od

nich na tym punkcie, mniej wrażliwymi od nich pod tym względem.

Nie możemy pozwolić sobie na zrobienie «parku natury» z całej Białowieży, choć to możeby było najwspanialsze rozwiązanie tej sprawy. Potrzebne nam są bowiem niezbędnie jej bogactwa, obejść się bez nich nie możemy i musimy ją eksploatować. Ale tem bardziej należało było od samego początku, nie odkładając, wydzielić pewną jej część, odpowiednio wybraną, niezbyt dużą, ale i nie najmniejszą (z kilka tysięcy hektarów), jako «park natury» i poddać go surowej ochronie prawa, zabronić w nim odrazu tak, jak Amerykanie w Yellowstone, wszelkiej gospodarki przemysłowej, wszelkich polowań, wogóle jakiego bądź użytkowania przez ludzi z tej części puszczy: niechaj zachowuje się ona w stanie najzupełniej nietykalnym, dzikim, pierwotnym; niechaj gospodarzy w niej sama przyroda; niechaj rośliny i zwierzęta żyją i rozmnażają się w niej w sposób zupełnie niekrepowany, jak tego wymaga i jak na to pozwala ich własna natura i ich warunki przyrodzone. Człowiek może tam wkraczać tylko o tyle, o ile zauważy, że warunki tak się układają, że któremuś gatunkowi grozi zagłada. Powinien więc dawać haczenie na taki «park natury», powinien starać się, aby warunki istnienia w nim dla ochraniających zwierząt i roślin były pomyslnie a możliwie zbliżone do naturalnych. Poza tem jednak powinien jak najmniej wtrącać się do ich życia.

Początek pod tym względem dla Białowieży już został zrobiony. Państwowa Komisja Ochrony



KRAJOWA GIEŁDA WARSZAWA W ŁAWCZYSZACH (Polska)

Przyrody zaproponowała urządzenie w puszczy Białowieskiej 3 rezerwatów: jednego większego i paru mniejszych o łącznym obszarze przeszło 6.000 hektarów. Rząd przyjął ten projekt, a choć niema jeszcze prawnej uchwały co do niego, rezerwat Białowieski został już wzięty pod faktyczną ochronę i rząd mianował dyrektorem tego rezerwatu, a razem i Muzeum Przyrodniczego w Białowieży, znanego botanika, profesora Paczoskiego, który poprzednio był kierownikiem Wydziału Naukowego przy jednym z rezerwatów rosyjskich, mianowicie w tej Nowej Askanji, gdzie się jeszcze miało przechować parę żubrów. Są więc wszelkie widoki na to, że da się utrzymać ten rezerwat w nieuszkodzonym stanie.

Miejsce na rezerwat wybrano bardzo dobrze, jest to bowiem jeden z najlepiej zachowanych kątków puszczy i lepszego terenu tej samej wielkości nie dałoby się nawet znaleźć w puszczy.

Już i Niemcy ten właśnie kawałek upatrzyli na rezerwat, o którym widocznie mimo wszystko myśleli, nie przeprowadzili tu bowiem ani jednej kolejki, choć tak niemi zeszpecili inne części puszczy, ani nie urządzali żadnych cięć.

W takim rezerwacie zachowają się nietylko drzewa, ale unikną dalszej zagłady mocno przetrzebione zwierzęta puszczy.

Gatunki drapieżne wytępiono już tam oddawna, ochraniając żubry, to też dziś próżnoby tam było szukać niedźwiedzi albo rysiów. Jedyne wilki zjawiały się znowu w ostatnich czasach, ale bardzo nielicznie.

Ze zwierzyny łownej wyginęły losie i tylko czasami zawędruje tam jaki zbłąkany okaz tego pojeźnego zwierzęcia z lasów sąsiedniego Polesia. Jeleni i danieli, dawniej tak pospolitych w puszczy, zostało dziś bardzo niewiele. Licznie znajdują się jeszcze tylko sarny i rozmaita drobniejsza zwierzyna: lisy, borsuki, kuny, gronostaje, łasice, zające i inne.

Ptasznia również jest dość uboga, ale przechowały się tu jeszcze dość obficie tak ciekawe ptaki leśne, jak guszce i cietrzewie.

W każdym razie jest tam co ochraniać i wśród zwierząt, a przecież i one stanowią nieodzowną składową część puszczy.

Tak ochroniony i zachowany zakątek puszczy Białowieskiej będzie miał nieocenioną idealną wartość, stokroć przewyższającą te korzyści materialne, jakie mogłaby dać jego eksploatacja. Będzie on źródłem tylu pięknych i podniosłych wrażeń dla zwiedzających go, miejscem tylu kształcących i pouczających spostrzeżeń, że żadna korzyść materialna nie mogłaby się z tem nawet równać.

To też ma zupełną słuszość profesor Szafer, następca profesora Raciborskiego na katedrze botaniki w Uniwersytecie Jagiellońskim i równie gorący propagator idei ochrony zabytków przyrody, kiedy powiada, uzasadniając konieczność utworzenia »parku natury« z części puszczy Białowieskiej:

«Tutaj, na łonie natury, pozostawionej samej sobie, możnaby swobodnie studjować życie lasu i badać pierwotną florę i faunę. Tutaj zjeżdżałyby się rok rocznie z całej Polski wycieczki szkół średnich i zawodowych (zwłaszcza leśnicy), i tutaj

mogłaby się odbywać nauka pogładowa, któraby wprowadzała uczniów w tajemniczy świat cudów przyrody dziewiczej. Tutaj ściągaliiby, bezwątpienia, nietylko z kraju, lecz także z zagranicy liczni turyści, leśnicy, przyrodnicy i artyści, aby czerpać z niewyczerpanego źródła wrażeń, jakie daje każdemu odczuwającemu piękno przyrody nieskalana w swem pierwotnem pięknie puszcza leśna. Słowem polski «Park Narodowy» w puszczy Białowieskiej stałby się obok podobnych «parków» Stanów Zjednoczonych Ameryki, Australji, Szwajcjarji lub Szwecji atrakcją dla miłośników przyrody całego świata i przyczyniłby się w dużym stopniu do podniesienia u nas zdrowego ruchu turystycznego i krajoznawczego. Liczne i wielkie korzyści, jakieby przynosił bezpośrednio lub pośrednio taki «Park Narodowy», położony w sercu ostatniej polskiej puszczy leśnej, zapłaciłby sownie za straty materialne, jakie ponieśćby musiała nasza gospodarka leśna przez wyłączenie z planu użytkowania tej części puszczy Białowieskiej». («Wrażenia z wycieczek do puszczy Białowieskiej, odbytych w latach 1919 i 1920»).



SPIS RZECZY.

	Str.
Przedmowa	5
I. Zachwiane projekty wakacyjne. Do Białowieży!	7
II. Z Warszawy do Białegostoku	12
III. Przyjazd do puszczy	38
IV. W puszczy Białowieskiej	48
V. Pierwsza przechadzka po puszczy	54
VI. Wycieczka do Zameczyska i Starej Białowieży	69
VII. Ostatnie dni pobytu w puszczy	82
VIII. Dzieje puszczy Białowieskiej w ostatnich latach	93
IX. Historia żubrów w czasie wielkiej wojny	101
X. Obecny stan puszczy Białowieskiej, jej rola i znaczenie w przyszłości	110

